

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

kódz



NR 31 (1130) ROK XXII

5 SIERPNI 1979 R.

CENA 3 zł

HENRYK DINTER

ROZMOWA Z WNUKIEM

Czy pamiętasz, Piotrze, owo sierpniowe popołudnie, gdy siedliśmy przed telewizorem, aby oglądać film o powstaniu warszawskim? Wyświetlali zdjęcia robione podczas walk. A więc ówczesne ulice warszawskie i kule tłukące po ścianach domów, po chodnikach i asfalcie; raz po raz bijące wysoko gejzery dymu i pyłu z rozkruszonych domów po wybuchach pocisków armatnich i bomb lotniczych; miejscami olbrzymie jezory płomieni wyskakujące z wyrw i wywalonych okien; a pośród tego ludzie – najliczniej chłopcy i dziewczęta, jakby dzisiejsi licealiści z opaskami biało-czerwonymi na rękawach. Niektórzy z bronią – jakieś tam pistolety, granat lub butelka w ręku, czasem karabin. Przebiegali ulicę, wznosili barykady, strzelali, rzucaли pod czołgi butelki z benzyną, często padali od kul – niestety częściej niż Niemcy.



Chociaż była to dla mnie trzydziesta któraś z kolei rocznica, ruszyło mną jak zawsze, gdy oglądam fotografie i filmy z tamtych dni. One na nowo ożywiają zakamarki pamięci z dawną już zdawałoby się zasklepienie. Nie tylko widzę, lecz odczuwam podmuchy wybuchów i drganie powietrza, dławię się – jakby ów pył mielonych cegieł nowu zatykał mi tchawicę, czuję zapach spalenizny. Drętwieję na widok plukających samolotów, gdyż wyraźnie słyszę ich wycie i świsty wyrzucanych bomb...
Opanowałem się szybko. Siedziałem przy mnie. Ty, mój wnuk, urodzony w dwadzieścia lat po powstaniu. Byłem ciekawy twoich odczuć.
Ta ciekawość też pochodziła z powstanowych przeżyć. Gdy następowały momenty zupełnej bezsilności i gdy oczekiwało się najgorszego, zjawiały się refleksje o tym, co po-

zostanie po nas w myślach i uczuciach przyszłych pokoleń.
Na ekranie rozpadala się wielopiętrowa kamienica grzebiąc ludzi zwałami gruzów. Przybladłem.
— Byłeś tam gdzieś dziadku?
— Wtedy byłem na Starówce. To Śródmieście.
— Czy szrama nad okiem i blizna pod szczęką i ta na brzuchu, to stamtąd?
Zaskoczyłeś mnie, byłem pewien, że te blizny nigdy cię nie interesowały.
— W brzuch dostałem odłamkiem granatnika na Starówce, w szczękę w mieście później w Śródmieściu, także odłamkiem, a szrama jest pamiątką z początku wojny w Warszawie.
Obrazy z ekranu wciągnęły nas,

Dalszy ciąg na str. 5

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

W STARYM MŁYNIU

Potężna wieża zboru na dalszym planie. Na bliższym obszerny podwórzec folwarczny. W lewo od nas budynek gospodarczy (ongis spichrz, dziś magazyn bhp) z wieżyczką zegarową. Dalej na lewo pałac z 20-tych lat ubiegłego wieku.

Przydałby się remont elewacji. W pałacu mieści się dyrekcja PGR i centrala telefoniczna. Pokoi biurowych strzeże demoniczny czarny kot, z oczami jak u pantery.

Zegar na tej wieżycy nie chodzi. Chyba wiele lat. Niedbalstwo? W dobie, gdy zegar z eteru przynosi „czas kwarcowy”, dokładniejszy, i sekundują mu sekundniki na przegubach rąk wszystkich chyba pracowników PGR – ten wieżyczkowy zegar jest zabytkiem. A zadaniem zabytku stać i malowniczo wyglądać. Na czubie wieżyczki stoi w gnieździe bocian, doskonale nieruchomy. Dokładnie jak zegar. Poza tym stoi powietrze, stoją liście na grabie. Stoi wszystko, co wydaje dźwięk lub szmer. To pochodne ruchu, a właśnie jest sobotnie późne popołudnie – więc bezruch, bezzające, bezczłowiecze.

— Człowiek na horyzoncie! — stwierdza żona i rusza gniewnie na spotkanie. Rzeczywiście, z przeciwnej strony zamajaczył fiat 125p.

Wjechał na majdan. Z boku godła PGR. Żona szura kierowcą.

Coś się nie dotarło między „górami” a „jednostką”, coś nie „zadawało”, więc nie wiedzieli, że to dzisiaj, akurat w to sobotnie popołudnie, kiedy człowiek tu na lekarstwo, tylko bocian i krowy do połowy horyzontu. Przyjazd kierowcy był czystym przypadkiem. Ale już przejął inicjatywę. Ma nie tylko zdolności organizacyjne, ale, ku naszemu zdziwieniu, i moc rozkazywania. Już jest wszystko dobrze. Jeszcze nie wiemy, że to wicedyrektor PGR – Szesna, inżynier Jerzy Nowaczyk.

Młyn

Mieszkamy w Młynie. Mieszczą się w nim: biura Zakładu Usług Społecznych PGR, sala konferencyjna, biblioteka publiczna, klub „Ruchu”, na piętrze cztery pokoje gościnne. W każdym sifit w ukos, we wnęce mansardowe okienko, jasne mebelki, radio, gruboskrzydła alegoria Malczewskiego nad tapczanami. Zajmujemy z żoną dwa pokoje. Otwarte maszyny czekają na pierwszy nasz przypływ pracowitości. Przyglądamy się Młynowi z zewnątrz. Spod wiochatego wzgórzka z jakimiś rozrąganymi ruinami i kikutom muru ciurka wąta strużka. Gdzie jej tam imać się za obracanie koła...! Jednak Młyn jest rzeczywiście zaadaptowanym młynem.

Istnieje w tym miejscu od XV wieku. Kiedyś największy na Mazurach. Zarządzali nim z laski i woli komturów wójtowie. Kształt, do którego nawiązała rekonstrukcja, otrzy-

Dalszy ciąg na str. 3

W numerze:

Próba pokolenia

Był taki krytyczny dzień. Kiedy poległo 1.500 żołnierzy powstania, ale fakt ten jest bardzo słabo znany. Nie ma także monografii Woli, jako dzielnicy Warszawy, która dała potężną ofiarę krwi. Oddziały wchodziły do walców niemal nie uzbrojone, bo tak się złożyło, że w ogrodach Ulricha, gdzie była zakopana broń, rozłożyła się brygada pancerna SS im. Hermanna Goeringa. Toteż Niemcom nie trudno było pokonać powstańców. Rozstrzelali wówczas blisko 800 młodych ludzi. Śmierć tych młodzieńskich żołnierzy nie powinna zostać zapomniana.

Z ROZMOWY Z PROF. DR INŻ. JANUSZEM WIŚNIEWSKIM.

„Tajna armia”
Winstona Churchilla

Dopiero w styczniu 1946 roku Wehrmacht przestał ostatecznie istnieć. „Tajna armia” Churchilla została rozwiązana.

(JERZY CZECH)

Niezwycześni Seminolewie
z Custer street

— „Pochowałem moje serce na Custer street”. To słowa białego, amerykańskiego poety Stephena Vincenta Beneta. Pięknie pisał on o Indianach...

(KONRAD TUROWSKI)

POZA TYM:

- Na błędnych szlakach Kosmitów
- Fatamorgana
- Felietony, „Załącznik”

KONRAD TUROWSKI

NIEZWYCIEŻENI SEMINOLOWIE Z CUSTER STREET

Parterowa zabudowa Hollywood nagle się urywa. Droga „US 1” biegnie teraz przez Everglades – Wielkie Błota porośnięte zapadającymi się w bagnie drzewami. Zupełnie inny obraz Florydy niż wzdłuż autostrady „Turnpike-95”, którą jedzie się nieprzerwanie od granicy kanadyjskiej aż do Key West, najdalej wysuniętego na południe skrawka Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Zniknęły wspaniałe lasy cyprysowe, słodkawkopachnące wiosną gaje pomarańczowe, kolorowe reklamy zajazdów, moteli, restauracji i barów „Best Western”, „Holiday”, „Howard Johnsons”, „Pirates Cove”, „Sheraton”, „Moby Dick”, „Kentucky Fried Chicken” oraz wielu, wielu innych o najrozmaitszych nazwach, prześcigających się w wabieniu klientów kolorowymi telewizorami w pokojach, widokami na palmy i ocean, basenami kąpielowymi z podgrzewaną wodą, tapczanami trzesącymi przed snem, najwymyślniejszymi potrawami, wśród których rekin w śmietance wydaje się chlebem powszednim.

Przy mało uczęszczanej „US 1” znaki drogowe podziurawione są jak sito. Zastępują tarce strzelnicze. Współcześni cowboje w fordach, pontiacach i cadillacach wala z rewolwerów jakby galopowali konno w czasach „gorączki złota”. Nikt się temu nie dziwi. Obywatele USA mają przecież w swoim posiadaniu sześćdziesiąt razy więcej pistoletów i karabinów niż US Army...!



Autentyczny western zdaje się zwiastować ustawiona w tym pustkowiu cztery i pół mili od Hollywood, tablica z kategorięcznie sformułowanym tekstem:

„Parkowanie absolutnie zabronione! Kto naruszy zakaz zostanie oskalpowany!”

Dalszy ciąg na str. 8

Dalszy ciąg ze str. 1

miał jednak znacznie później. Przechodził barok. W Polsce centralnej także stawiano tą modlą dwory i okazywały budynki gospodarcze w czasach, gdy dawno już rządził klasycyzm. Młyn otrzymał na nowo nie skalanie biały tynk, dach lamany kugociej barwy, poniżej rząd alkierzowych okienek. Przypomina odbudowane kamieniczki na Mariensztacie, które określano w „okresie” jako narodowe w formie, socjalistyczne w treści.

W tak starym mlynie nie może nie straszyc i choć nowe wnętrza „nie dysponuje warunkami”, pan Glowienka zaręcza, że szwenda się po nim nocą „Rudy Erich” — starodawny młynarz, który z Bożego rozkazu taszczy po schodach wory ukradzionej maki. Poznać go łatwo, bo zamiast twarzy ma „czarczą dyńnię”. Straszyc też podobno i Krzyżak ale że pan Glowienka nie widział ani płótna Matejki, ani „Krzyżaków” Forda, opisuje zjawę w sposób ekstrasensoryjny: ma podobno na głowie siwą szlafmycę z fontaziem-gackiem.

Na próżno usiłuje powtarzaniem późnowieczorową porą tych rewelacji wywołać w żonie dreszcz metafizyczny. Wykazywała bezprzykładną

jakby zagryzania... i już wzbijają się w kosmos rytualne pienia. O góralu, któremu żal odchodzić — i może to przez solidarność tak długo tam siedzą. O rybkach, które, w odróżnieniu od jakiejś pani, śpią w jeziorze. O stosie, na który ofiarnie obiecują rzucić swój życia los. O tym, że „szyraka strana nasza radnaja...”

Skąd Litwini wracali...

Kikut muru na pagórku to narożnik zamczyska. Przypomina pontekad ów charakterystyczny wysterek Zamku Warszawskiego w ciągu długich lat oczekiwania na decyzję odbudowy. Dopiero kto się wdrapie na wzgórze, zobaczy, że jest i reszta murów. Sięgają do połowy parteru. Poza tym w nie najgorszym są stanem stare gotyckie piwnice krzyżackiej warowni. Mury i piwnice, nakryte, gwoli zabezpieczenia, niską wiatą, czekają na restaurację. Właśnie w obu znaczeniach tego słowa. Nadejście muratorów — gdy znajdzie się moc przerobowa — poprzedzą wykopyki archeologiczne. Zamek wzniesiony został w XIV wieku na miejscu grodziszca pruskich Gelinów.

Wrapują się. Żona została na podwórzu. Usiłuje osłabić we mnie du-

jednaki, acz ważkie i dramatyczne, znacznie mniej absorbują wyobraźnię, niż obrona zamku w 1371 roku przed drużynami Kiejstuta.

Książę Kiejstut nie tylko bowiem, jak skłonni jesteśmy sądzić (zbyt literalnie traktując niektóre partie „Wallenroda”), prowadził działania obronne w przepaścistych kniejach Żmudzi, ale przedsięwziął dalekie wyprawy odwetowe. I oto widzę: stoi w helmie szpiczastym, jakie zwykli Litwini zakładać na boje, tu w tym miejscu, gdzie dziewiętnastowieczni właściciele pałacu założyli sentymentalny stawek. Za plecami księcia płonie podgrodzie. Walczą: pancerni w środku, łucznicy po bokach — tak każą im walczyć wersy „Grażyny”. Czy tylko sam Kiejstut miota rozkazy? Co to obok za młodzian dumny i błądy? Fabularia klasyki historycznej są w moim odczuciu bardziej rzeczywiste od faktów autentycznych. Dla przykładu, przedzej bym uwierzył, że nie istniał Jan Kazimierz, niż Zagłoba. Szturmy zalamują się tu, na tych murach, Kiejstut uderza w róg do odwrotu. Czy on sam tylko...? Zaraz! Chwilczkę! Między tą bitwą a bezprzykładną klęską armii krzyżackiej pod wodzą Wallenroda (Wilno — 1392 r.) upłynęło dwadzieścia jeden lat. Okres długi, ale przecież walki w Palestynie, obłężenie Grenady, i wspinanie się rzekomego Wallenroda po szczeblach dygnatarskich urzędów w Państwie Zakonu Szpitala NMP Domu Niemieckiego (w tym pełnienie urzędu komtura w pobliskim Rynie, w najposępniejszym zamku, jaki widziałem) wszystko to przecież nie mogło trwać krócej. A zatem wyobraźnia ma prawo podpowiedzieć mi, że to właśnie tu nieszczerzy maż Aldony powziął postanowienie: „Jeden tylko sposób pozostał Litwinom...”

Lecz oto już nie „dumam”, ale myślę z mieszanymi uczuciami o rychłej przyszłości, kiedy to w odręstaowanych lochach zamku powstanie knajpa dla dewizowców i nadzianych rodaków i ci, zachwiewając się na tych nierównościach, będą raczej popatrywać, gdzieby najskuteczniej „oddać wikt” niż zastanawiać się, czy i w którym miejscu stał ów, co „pod imieniem Wallenroda sływał”.

Na szeñniejskiej

Bloki pegeerowskie stoją w bok od szosy, bliżej Mrągowa, i dokąd się nie mieć nic wspólnego z życiem wsi. Zdają — gdyż zarówno bloki, jak i parterowe domki z rezedą pod oknami zamieszkuje przeważnie pracownicy PGR. Dlatego w ciągu go-

gotycki kościół (od reformacji zbor), zbudowany w 1450 roku. Związana jego baszta. Czworokątna, ogromna, masywna jak dzwignięty ponad najwyższe drzewa bunkier. Gotycka, a zaskakująca romańskim fryzem poniżej helmu. Na cmentarz i cmentarny mur stare drzewa rzucają cień nie ustający nawet w południe. Baszta i cień wywołują nastrój, który zbyt trudno przełożyć na słowa, tak przecież bogate w wyrażanie zaspienia.

Między trójką przed sklepem coś jakby przepychanka, gdy stajemy u furty cmentarnej. Tego, co przejawia największą chęć podejścia do nas, przytrzymuje za poly środkowy. Pierwszy ofiaruje się pokazać nam zbor, środkowy gwałtownie dopytuje się, czy jesteśmy z Dębłina.

— A tamten wam — zniechęca nas — nic mądrego nie pokaże, bo to nie kościół, lecz grzech czysty.

Nasz cicerone zdaje się pełnić obowiązki klucznika i dozorczy. A także — ale z zawilego sposobu wypowiedziania się nie wiadomo dokładnie czy on czy brat — jest katechetą dla kilkunaściorga dzieci pozostałych tu rodzin ewangelickich. Pastor w Szeñnie nie mieszka, przyjeżdża na nabożeństwo raz w miesiącu z pastora, co gra na organach.

Wewnątrz zboru przynębiający zapach grzybu, zacieków, próchna, grzącego kurzu — opuszczenia. Barokowy ołtarz, ambona, pracownice rzeźbione aż XVII-wieczne ławki. Na pulpitych kancjonały. Jeden po polsku gotykiem. Wiem, że te rzeczy trafiają się raczej w mizerach, w dzisiejszej zaś literaturze są tylko umiłowanym rekwizytem schematystów. Wiem, ale, cóż poradzić, że księga ta leży akurat przede mną na pulpicie, że przewracam jej żółte szacowne karty i że raz w miesiącu ktoś tu z tej ławki z niej śpiewa. Na ścianach widzę dwa okazywane nitafia: rycerza Fabiana von Lehdorf z 1625 r., z maszerującym nad nim w niebo Chrystusem z czerwona flaga, i Bernarda Willamowskiego, starosty szeñniejskiego. Pan starosta kleczy na chorości z potładowanej miedzi. Uśmiecha się tylko mistycznie, lecz i jak gospodarz rad z odwiedzin.

Interweniowaliśmy później u pastora w Mrągowie w sprawie konieczności szybkiego remontu i ratowania zabytku, lecz z niewiadomym skutkiem.

Wracamy. Między trójką przed sklepem coś jakby przepychanka. Ten z Dębłina z kolei zniechęca nas do trzeciego w szaroniebieskim garniturze z pierwszozędnej welny z pastelną plamą po oleju na pierś. To właśnie pan Glowienka.

— Pani, nie słuchajcie tego pija-

Chciałby załudnić świat baśniami i sentymentalną rekwizytornią „czasu utraconego”. W jego opowieściach — a usta mu się nie zamykają, tylko szkoda, że rujnuje każdą dłuższą informację gonitwą myśli — o dawnym Szeñnie trudno się też polapać, gdzie Dichtung a gdzie Wahrheit. Pokazuje nawiedzoną ongiś przez diabły dawną karczmę, w której właśnie — nie zaś w Nakomiadach, jak każda wersja zapisana przez Wakara — umieszcza przygodę karczmarki-szachrajki. Diabeł pogalopował na gołozadę przez komin aż do Ruskiej Wsi i tam kazał ją kowalowi podkuć jako kobyłę. Pokazuje też budynek, w którym w gadkowych czasach urzędował soltys, zwany przez niego z uderzającą przesadą — Bürgermeister. To ten „Bürgermeister”, dzięki fortelowej sprytności matki, ochłostał urzędowo nie ją, ani nie jej synalka, tylko jakiegos Bogu ducha winnego naiwnego przechodnia. Glowienka domyśla się, że jesteśmy „figurami”. Wcale nie chce, żeby mu za tę fatygę postawić, zanosi do nas jedyną i całkiem bezinteresowną suplikę — żebyśmy przekonali dyrektora, co do przytułu z wysławomowania, pogłębień i napalenia znowu wodą miejscą po stawku. Powinny też po nim, podobnie jak przed wojną, pływak kajaki z żagielkami. Mówił nam zresztą w kilka dni potem dyrektor Chodorowski, że odwołanie tamtego dekoracyjnego stawu jest postanowione.

Schodzimy z żoną po stromym zboczku z zęborem na zdzieczony cmentarz. W dżungli krzaków odnajdujemy resztki żeliwnego, przerdziałego niemal na wylot, pomnika grobowego Komorowskich — z rodziny, w której w początkach osiemnastego wieku wydarzyła się tragedia „Marii”, przetworzona potem poetcko przez Malczewskiego. Nie o podobieństwo świeżo z potwornego dzieła lastryku, nagrobki właśnie rodziny Glowienków. A więc nasz „Taugenichts” otrzymywane pieniądze nie tylko przepija.

Wracamy. Cieszy się jak dziecko, gdy go pochwaliliśmy, za dopełnienie powinności synowskich. Ulica pusta. Babinka czeka na przystanku do Ketrzyna. W stronę Ruskiej Wsi pomknął autem „naczelnny”. Z dołu, spod Młyna, wyciechała pani Ziuta-bibliotekarka. Wjdząc nas, wysiadła na chwilę z szoferki zakładowej nyski. Taki mój los — pisać albo o sympatycznych nierobach, albo o Judziach imponujących pracowitością. Pani Ziuta wlezie właśnie nowy zestaw książek do punktu bibliotecznego w Nowym Wielkim (najlepiej pracującym z ośmiu prowadzonych przez bibliotekę zakładową w Młynie).



Foto: Archiwum

W STARYM MLYNIE

odwagę... aż do chwili, gdy ujrzała na podeście... mysz.

Zaczęło straszyc na potęgę od poniedziałku rano. Seanse trwały dzień w dzień do trzeciej po południu, lub dłużej. Za ścianą szurało, dzwoniło, jęczało w słuchawki telefonu. To były całkiem dobre duchy. Zabiegali w sprawach kolonii letnich dla dzieci pracowników. Przekonywali uparte matki, że warto, bo trzy-czwarte kosztów pokrywa zakład. Upraszały jakieś zachmurzone i władniejsze duchy o pajacyki i chliczki dla przedszkoli. O wzmacniacze dla jakiegoś zespołu, o podwyższenie komuś tam renty... Dobre były duchy, miłe. Szybko zaprzyjaźnił się. Zostawiali w domu zmartwieńia, dramaty rodzinne, ciężkie choroby najbliższych i tam, przy biurkach o ścianie, były już tylko dobrymi duchami, które po prostu zapomniały przytroczyć sobie do ramion skrzydła.

Ale zjawiały się i duchy — złe. Po nagłym telefonie, od którego nie było odwołania. Nadjeżdżały czarnym autokarem. Duchy dobre z Zakładu Usług Socjalnych wzdychały z rezygnacją:

— Znowu uroczyste zamknięcie jakiejś kursokonferencji. Odkąd mamy stylowo urządzone sale, w Młynie już tak nieustannie.

Wychodzą z autobusów, napompują kursowiedzą. A to księgowi, to behapowcy, to znów inni. Najpierw dobiegają z sali, tej z dołu, przemowy socjalistyczne w formie i superliniowe w treści, ale wnet jakieś mistyczne mlaskania, odgłosy

cha zabranianiem i snuciem przerażających wizji mego spadnięcia z dwumetrowej stromizny. Tak od trzydziestu lat: ja góra, ona dolina. Ja — wdzieranie się, gdzie się da, polowanie na legendę, miejsca dotknięte palcem historii lub dźwiękiem pisarskiego słowa. Ona — kontemplowanie kwiatów w przeddomkowych ogródkach i nawiązywanie z miejsca kontaktów z ludźmi — dar, którego mi od jakiegoś czasu brakuje.

W zakłębieniach wokół wzgórze nietrudno domyślić się śladów fosy. Wejścia do zamku skutecznie od byłej fosy i niestromej stromizny bronią gęstsze agresywnych, „tłusto-listnych ziół i wszelkie roślinne kolczastości. Rozpoznaję krwawniki, dziewanny, rzepy obrzymy i — zdumiewające! — relikwatą kłoc wiechowatą.

Heleńko wejść, lubię spoglądać wsparty na Judahu skale. Z braku Judahu, na tamtym narożniku. Spoglądając i...dumać, czy komponować przed oczyma wyobraźni Byłe lub możliwe do Bycia. A jest co wybierać i stawić przed wspomnianymi oczyma. Bo to i to wzgórze ogarnąć musiało wielkie ogólne powstanie Prusów w 1260 roku. I tych stron właśnie zwierchność przystąpiła do Związku Jaszczurczego i opowiedziała się za Jagiellończykiem. To tu, po klęsce wojsk koronnych pod Chojnicami, rozsierdzeni Krzyżacy pojmali i oddali pod sąd za zbrodnie sprzyjania Polsce czcigodnych panów — wójta Hugona von Heilgerberga i prokuratora kerzyńskiego, Wolfa Sauera. Wydarzenia te

dzin pracy mało się na ulicy widzi osób. Poza trójką młodych ludzi przed jedynym w Szeñnie sklepem spożywczym.

Więś założył w 1401 roku na prawie chełmińskim (jeszcze jako komtur beldzki) znany nam skądinąd Ulrich von Jungingen. Uszczęśliwił ją przywilejem posiadania ośmiu karczem. Aż na tyle jednak się mieszkańcy Szeñna nigdy nie zdobyli. Dziś jest ta jedyna — na schodkach sklepu na stojącej. Młodzi ludzie na nasz widok zeszi z schodów i zrównali się z linią trotuaru...

Szeñno, w latach 1752-1816, było siedzibą urzędu dominalnego i targową osadą rządzoną przez soltysów na podstawie surowego walkierza. Śladem po rynku jest, być może, rozszerzenie ulicy między kościołem i sklepem. O sądowniczych, całkiem nawet drastycznych prerogatywach soltysów, powie nam za chwilę pan Glowienka, a i tę samą gadkę można przeczytać w monografii „Mrągowo”. Był tu szpital dla ubogich. Pewnie w starym domu na cmentarzu kościelnym, w którym właśnie urządziła się świetlica z salą kinowo-teatralną. W elementarnej szkółce uczono jeszcze w początkach XIX wieku po polsku... Dyrektor Jerzy Nowaczyk przemknął właśnie swym fiałem ku suszarni. Znajduje się w lewo od szosy do Ketrzyna, o kilometry od Szeñna. Całą duszę wkłada w porzuch jej pieców, tam tansportu wewnętrznego. Nie pierwszy raz tam dzisiaj jedzie...

O splendorze wsi i jej sławie w światku historyków sztuki stanowi

ka, on to tylko z własnej głowy wymyśla, jak to pijać — wydaje dęblianin świadectwo Glowience. Sam przybył tu z tego garnizonowego miasta zaraz po wojnie, bo tu „żyć, mówiono, lekko” i puszcza wodze nostalgicznym wspomnieniom o Wiśle, moście i bliskości miasta Lublina. Życie tu jest rzeczywiście lekko, bo utrzymuje go żona. Jego bowiem, jak nam sam oświadcza, cechuje stosunek do pracy arystokratycznie niechętny.

Natomiast pan Glowienka, którego dęblianin wreszcie dopuścił do nas, nie przejawia jakiegokolwiek rozczarowania. Przyznaje mazursko-polsko-niemieckim volapükim, że z powodu wódki odebrano mu przed paru laty papiery kierowcy ciężarówki, mimo to wierzy, że w bliżej nie spre cyzowanej przyszłości oddadzą mu je i przyjmą na nowo do pracy w pegeerze. Na razie pomaga mu siostra z RFN. Jeśli przekaz nie przyjdzie na czas, idzie na parę dni „zum Landgut” na fizycznego i zapracuje na butelczynę. Szczególny człowiek z Glowienki. Tak wyobrażam sobie bohatera „Aus dem Leben eines Taugenichts” Eichendorffa. Nikomu nie zazdrości, zdaje się nie żywić pretensji do świata, ani do siebie. Uważa swoje i tamtych dwóch nierobstwo za coś również normalnego i właściwego jak pracowitość pozostałych mieszkańców Szeñna. Co równie ciekawe, „tęby życia” całej trójki nie wydaje się specjalnie drażnić tamtych: koegzystencja na zasadzie, co komu do tego. W Glowience jest coś z dziecka — stwierdzałem to potem wielokrotnie.

Bywają pracowite mrówki — i do takich należy pani Ziuta, świeżo upieczony magister z filologii — z poczuciem humoru i rozmowna. Pewna rozmowność nie szkodzi pracowitości, natomiast skutecznie zabezpiecza ją przed masochistycznym traktowaniem swego powołania.

Zatrzymała się, by nam opowiedzieć, co się niezwykłego wydarzyło w tamtych blokach. Zamożni, jak wszyscy ciężko tu pracujący, posiadają meble na wysoki połysk, lodówki, pralki, motory, „van Goghi” i telewizory kolorowe francuskie, a ciągle nie można być odczytującym starowiejskiego pozostawiania w sieni, przed drzwiami swych mieszkań-bombonierek, zabłoconych butów, zgnojonych skarpetek. Wierze dziś dyrektora „pod osłoną nocy” wszystkie te buciory i wszelkie nożne okrycia własnoręcznie wyniosła — jak się to praktykowało za dawnych czasów na obozach harcerskich — na podwórzu i pomieszała. Rano Sodoma i Gomora, szukanie, rwetes, wzajemne oskarżania i wreszcie, z chwilą odnalezienia, namacalny dowód na... diabłów obcowania!

Sklepiarka skinęła na swych trzech pretorianów, co to przestawszys się już nam zajmować, nadal liczyli obłoki na niebie. Przystawiają w sklepie jakieś paki, jedne usuwają w kącie, inne przesuują bliżej frontu. Poznać z ich miny, że nie minie ich za to coś tam we szkle. (Dokończenie w następnym numerze)

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

ODGŁOSY 3

Z prof. dr inż. JANUSZEM WIŚNIEWSKIM — sekretarzem Komisji Historycznej ZBoWiD miasta stołecznego Warszawy rozmawia KONRAD FREJDLICh.

— Rok 1944 stanowi wyraźną cezurę w poczynaniach ruchu oporu okupowanej stolicy. Obchodzimy właśnie 35 rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Czy wiemy o nim dostatecznie wiele, czy też nasza wiedza o tym tragicznym zrywie ludności Warszawy wciąż jeszcze nie jest doskonała?

— Powstanie Warszawskie omawiane jest w opracowaniach naukowych na ogół w szerszym kontekście wydarzeń okupacyjnych. Nie brak oczywiście także ujęć monograficznych, które mają swoje zalety, ale nasświetlają zazwyczaj tylko jeden punkt widzenia. Najwięcej materiałów przynosi niewątpliwie książka Adama Borkiewicza, przynajmniej w odniesieniu do działań Armii Krajowej. Przewiduje się jej zazwyczaj publikację Kirchmayera, choć to nie ma większego sensu, bo Borkiewicz ukazuje walkę z godziny na godzinę, a Kirchmayer analizuje strategiczne położenie Powstania Warszawskiego w poszczególnych fazach. Z kolei książka Zenona Kliszki koncentruje uwagę na walkach AL na Żoliborzu. Ceniona jest praca Bartelskiego „Mokoty” i „Ochota 1939—45” Wawrzyszewskiego.

— A więc jest tego sporo?
— Tak, ale mimo to istnieją wciąż spore luki. Nawet proza artystyczna i film nie potrafiły oddać pełnego ob-



Foto: Archiwum

razu tamtych przerażających dni. Znam dobrze Koło, bo stamtąd pochodzą, które dzieliło się na robotnicze Koło „drewniane” i urzędnicze „murwane” dzięki blokom Osiedla im. Żeromskiego. W tej dzielnicy, gdzie działały organizacje podziemne wszystkich chyba orientacji politycznych, od komunistów po NSZ walki w czasie powstania miały niezwykle krwawy przebieg. Niektóre plutony zostały wybite co do nogi, a straty wszystkich były bardzo poważne. Był tak krytyczny dzień, kiedy poległo 1.500 żołnierzy powstania, ale fakt ten jest bardzo słabo znany. Nie ma także monografii Woli, jako dzielnicy Warszawy która dała potężną ofiarę krwi. Oddziały wchodziły do walki niemal nie uzbrojone, bo tak się złożyło że w ogrodach Ulricha, gdzie była zakopana broń, rozłożyła się brygada pancerna SS im. Hermann Goeringa. Toteż Niemcom nie trudno było pokonać powstańców. Rozstrzelali wówczas blisko 800 młodych ludzi. Śmierć tych młodziutkich żołnierzy nie powinna zostać zapomniana.

— Konstatuje pan istnienie „białych plam”, a przecież czas jest nieubłagany. Będzie chyba coraz trudniej docierać do uczestników i świadków zdarzeń i jeśli teraz nie dokonano się wielkiej pracy dokumentacyjnej może się zdarzyć, że o wielu sprawach nie dowiemy się już nigdy.

— Jest moją ideą w organizacji zdobywającej coraz więcej zwolenników, aby możliwie dużo pisać i drukować. Mgr inż. Ryszard Łazarski, przewodniczący oddziału Wola uruchomił biuletyn pt. „Ludzie Woli” i w nim ogłasza wspomnienia kombatanów, którzy w tej dzielnicy walczyli. Może te materiały pozwolą kiedyś na opracowanie pełniejsze.

— Z pańskich publikacji wiem, że brał pan udział w powstaniu. Gdzie pan się znajdował, kiedy nadeszła godzina „W”?

— Muszę zacząć od tego, że byłem w konspiracji od pierwszych dni okupacji. Do Związku Walki Zbrojnej włączyłem mnie szkolni koledzy m. in. syn pułkownika Rudnickiego, Janek. Broń pochodziła z kampanii wrześniowej po zakonserwowaniu zakopywaliśmy w ogródkach willowej części Koła.

Jako uczeń Liceum im. generała Sowińskiego zostałem skierowany do szkoły podchorążych ZWZ — AK. Zaprzysiężono mnie 19. III. 1940 r. Uzyskałem tam stopień kaprala-podchorążego. Szkolenie praktyczne odbywało się w okolicznych laskach: w Bemowie, na Woli, w Kampinosie. Przerabialiśmy podręcznik dowódcy plutonu, ale głównym przedmiotem była walka w mieście, co dowodzi, że nasze dowództwo liczyło się z wybuchem powstania. Kolejne rozkazy przygotowywały do opanowania wybranych obiektów. Już w kwietniu 1941 r. otrzymaliśmy zadanie wstępne go ich rozpoznania, aby tym łatwiej było je później zdobyć. Im było bliżej godziny „W” tym ściślej określono teren na którym miał działać pluton w fazie początkowej. Niektóre obiekty uległy w tych przygotowaniach zniszczeniu, gdyż zostały opuszczone przez Niemców i nie było potrzeby ich zdobywania. Trzeba było natomiast rozpracować nowe, zajęte dopiero przez okupanta.

— Cofnijmy się może jeszcze do tych czasów, gdy szkolono pana na dowódcę plutonu...

— To nie trwało tak długo, a od 1942 roku sam byłem wykładowcą w szkole podchorążych. Odpowiadałem za pięć kiluosobowych klas co było podyktowane wymaganiami konspiracji, jedna z nich była na rogu Górczewskiej i Młynarskiej w dużym domu, który stoi do dziś. Polityką się tam nie zajmowaliśmy, bo było dużo pracy, a czasu bardzo mało. Tym nie mniej zdawałem sobie sprawę z podziałów politycznych podziemia. Zdarzyło się nawet, że wykładałem naukę o broni na kursach podoficerskich GL i AL, gdy poprosił mnie o to oficer KG AL wówczas ppor. „Cienki” później płk Leon Wrzosek. Przed pierwszym wykładem uzyskałem na to zgodę moich władz konspiracyjnych. Jak już panu mówiłem na Kole podziemie reprezentowało szeroki przekrój społeczny, a więc i polityczny, ale organizacje konspiracyjne tworzyły się na bazie koleżeństwa młodych ludzi i to miało duże znaczenie, bo umożliwiało współpracę.

— A pańskie klasy? Jak odbywało się szkolenie podchorążych?

— Wykładałem naukę o broni i terenoznawstwo. Program był obszerny, trzeba było praktycznie umieć na pamięć podręcznik dowódcy plutonu. Ale młodzi sprościli nie tylko temu. Kiedy na zajęcia potrzebny był pistolet, potrafili „wypożyczyć” visa od mieszkającego w tym samym domu na piątym piętrze policjanta. Gdy była potrzebna „błyskawica” tzn. zrzuć pistolet maszynowy, okazało się zaraz, że jeden z elewów przechowuje broń w rynnie w zalutowanym pudełku blaszanym o kształcie rury. Mapy plastyczne do nauki terenoznawstwa robiliśmy sami z gipsu.

— Gdzie pan był 1 sierpnia 1944 o godzinie siedemnastej?

— O przygotowaniach do powstania wiedziałem wcześniej, bo już w lipcu przebiegała mobilizacja podziemnych oddziałów. Ponieważ zdawałem wtedy ostatnie egzaminy w Państwowej Wyższej Szkole Technicznej, która mieściła się w gmachu Politechniki Warszawskiej dostałem zgodę swego dowódcy na dołączenie do plutonu, w godzinie „W”. Pierwszego sierpnia o godzinie czternastej przyniesiono mi rozkaz wraz z hasłem i odzewem, abym stał się do swego oddziału. Wyciągnąłem ze schowka broń, ukrywaną przede mną w studzience kanalizacyjnej, spakowałem „dyplomówkę” i wyruszyłem w kierunku śródmieścia. Niestety, Niemcy ustawili wartowników przy przejeździe kolejowym nad ulicą Okopową, otwierając ogień już parę minut po piętnastej, toteż musiałem cofnąć się do bloków Koła. Pierwsze strzały w powstaniu oddałem wspólnie z „Czwartakami” AL, walcząc o uwolnienie żołnierzy AK, którzy dostali się do niemieckiej niewoli atakując z tzw. domku RGO (Rada Główna Opiekunów) zajmowaną przez hitlerowców szkołę.

— Ostatecznie jednak, jak mi wiadomo, dotarł pan do swego oddziału?

— Był to I Batalion Szturmowy Korpusu Bezpieczeństwa Armii Krajowej, który zajął ratusz na placu Teatralnym. Niemcy znajdowali się w pałacu Blanka.

— Co panu najbardziej utkwiło w pamięci z pierwszych dni walk?

— Dowódca I Batalionu Szturmo-

wego, mjr Stefan Kaniewski, pseudonim „Nalecz” organizował obronę ratusza wraz z por. Kalinowskim oraz mjr Włodzimierzem Kozakiewiczem, pseudonim „Bary”. Przypominam sobie, że w moim plutonie znalazło się dwóch żołnierzy z obcego, najprawdopodobniej rozbitego oddziału. Wystawiłem ich na wieżę ratuszową rozkazując obserwację ulicy Wierzbowej, gdyż od tej strony spodziewaliśmy się szturm Niemców zajmujących pałac Bruhla. Całemu oddziałowi zakazałem strzelania bez rozkazu, ale młody obserwator, na widok niemieckich czołgów, za którymi posuwali się grenadierzy oraz działko-

tu, Alei Jeruzolimskich i muzeum. Mój oddział, baon szturmowy „Nalecz” OWKB podczas walk o Starówkę wchłonął między innymi P-26 kompanię szturmową „Belt” ze składu Kedywu, jeden z plutonów baonu „Kiliński” cztery plutony Szkoły Podchorążych KB i I szturmowy pluton żandarmerii AK. O zaciekleści naszej obrony świadczy to, że mieliśmy 80 proc. strat. Ci, którzy przetrwali otrzymali Krzyże Walecznych, ówczesnie osób wirtuosi Militarji V klasy, a sześć Krzyży Grunwaldu III klasy.

— Jak pan ocenia dziś tańcen tragiczny czas?



PRÓBA POKOLENIA

ppanc. zajmujące pozycję pod filarami Teatru Narodowego, nie wytrzymał. Ponieważ miał amunicję świetlną Niemcy spostrzegli jego stanowisko i oddali szereg strzałów do wieży, która zaczęła płonąć. Wybuch pocisku ziałam drewniane schody prowadzące na wieżę, toteż obserwatorzy mieli odcięty drogę ucieczki. Jeden z nich szczęśliwie skoczył na dach przylegającego do wieży budynku, w którym, jak pamiętam, przechowywane były portrety prezydentów Warszawy. Drugi strzelec zwał się ze skokiem, a my nie mogliśmy mu pomóc, bo nie posiadaliśmy drabin. Kłęby białego dymu coraz bardziej otaczały wieżę. Wroście zdecydował się na skok, ale spadł tak nieszcześliwie, że poniósł śmierć. Wezwałem łączniczkę naszego batalionu i poleciłem pochwycić tego obcego żołnierza. Przy opuszczaniu ciała do grobu znalezione przy zmarłym jakieś dokumenty i fotografie. Wtedy drugi żołnierz z obcego oddziału, ten który ocalał, powiedział, że zmarły o nazwisku Krzysztof Kamił Baczyński był poetą Polski Podziemnej. Za chwilę nastąpił bardzo krwawy szturm, tego dnia Niemcy po raz pierwszy pędzili przed czołgami cywilną ludność.

— Znam mi przekazy przedstawiająca zupełnie inaczej śmierć Krzysztofa Kamiła Baczyńskiego...

— Zdaje sobie sprawę, że to, co tu powiedziałem, jest kontrowersyjne, ale nie mam powodu, żeby zatajać co stało się w moim oddziale podczas obrony ratusza.

— Jaki był szlak bojowy pańskiego oddziału podczas powstania?

— Szlak bojowy prowadził z Woli na Starówkę, a stamtąd kanałami do Śródmieścia. Brałem udział w szturmie na pałac Blanka, Bruhla, Radziwiłłów, na Colosseum i Szkołę Straży Pożarnej. Ważniejsze reduity podczas tych wyczerpujących walk to ratusz, Nalecza, Kończki, pałac Radziwiłłów i czworobok Brackiej, Nowego Świa-

ka, który tłumaczył nam jak dziełom, że trzeba oddać amunicję, broń. Jeden z oficerów nie wytrzymał i strzelił do siebie. Stojący obok żołnierz podbił mu dłoń. Tego dnia także otrzymałem Krzyż Wyzwolenia.

— Czym było doświadczenie powstania dla pańskiej generacji?

— To była próba pokolenia, próba charakterów, która wywarła trwałe piętno na całe życie ucząc nas jednego: wszystko dla ojczyzny. To poświęcenie pozwoliło nam później, po powrocie do kraju z tułaczki, mimo niesprzyjających warunków dla wielu z nas, podjąć pracę dla ojczyzny z taką samą ofiarnością jak wówczas, w walce.

— Jest pan autorem licznych publikacji prasowych poświęconych ruchowi oporu podczas ostatniej wojny, a jednocześnie pracuje pan społecznie w ZBoWiD. Proszę powiedzieć czym zajmuje się Komisja Historyczna, którą pan reprezentuje?

— Komisja Historyczna zajmuje się przede wszystkim opiniowaniem prac o przeszłości, które ukazują się drukiem w biuletynach oddziałów ZBoWiD, przygotowuje sesje naukowe i sympozja poświęcone tym samym sprawom prowadzi także kronikę wydarzeń samej organizacji. Dużą wagę przywiązujemy do zbieranych przez nas relacji o wydarzeniach bojowych pochodzących od uczestników ruchu oporu i przekazów pamiętnikarskich rysujących szersze tło akcji bojowych. Są to przecież, obok innych dokumentów, świadectwa naszego udziału w walce o najwyższe wartości ludzkie podczas ostatniej wojny i wcześniej, kiedy na przykład w Hiszpanii ważyły się losy Europy.

— Czy znaczy to, że nasza wiedza o okupacji nie jest jeszcze dostateczna?

— Wiemy o okupacji sporo, ale wciąż daleko do wyczerpania tematu. Dobrze więc, że nasza wiedza o czasach pogardy nieustannie się wzbogaca, nie tylko o jednostkowe relacje zawierające zazwyczaj ogromne ilości szczegółów, które pochodzą od naszych członków ale także o opracowania par excellence naukowe przedstawiające fakty do tej pory niedostatecznie poznane, jak choćby wydane ostatnio nakładem PWN prace doktorska Tomasza Strzembosza „Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy, 1939—1944”. Zresztą i fakty niby znane wymagają często weryfikacji, czego przykładem nierazkie polemiki i spory publicystyczne wynikiem na tle ogłaszanych drukiem prac. Okazuje się, że niekiedy relacje o akcjach bojowych nie uwzględniają wszystkich rzeczywistych uczestników zdarzenia albo też zawierają błędy rzeczowe wymagające korekty. Chodzi o sprawy wywołujące, mimo upływu lat, do dziś bardzo żywe emocje. Jako sekretarz Komisji Historycznej musiałem nieraz studiować temperamento polemistów jak to miało miejsce na przykład w związku z publikacjami Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego na temat działalności Kedywu w miejscowościach podwarszawskich. Chodziło nam zawsze o to, aby prawda miała pierwszeństwo przed racjami czy ambicjami osobistymi.

— Pragnienie wolności dla kraju, które każdy w nas podtrzymywał w sobie przez pięć lat okupacji, znalazło ujście w powstaniu. Właśnie młodzież bez względu na ofiarę godziła się umierać dla ojczyzny. Nastroje jednak zmieniły się w miarę upływu czasu. Entuzjazm ustępował rozgoryczeniu. Powszechnie liczone na pomoc z zewnątrz, a skoro nie było możliwości, aby nadeszła, trzeba było przygotować się na najgorsze.

Cieszyliśmy się jak dzieci, kiedy kukuruzniki zrzuciły karabiny przeciwpancerne, choć najczęściej ulegały uszkodzeniu podczas ładowania. Ale nasi rusznikarze potrafili je naprawić. Przelot samolotów alianckich miał ogromne znaczenie psychologiczne, podnosił na duchu. Ale też mimo tego wszystkiego, kiedy doszło do rokowań o wyjście ludności cywilnej ze stolicy, warszawiacy nie chcieli opuszczać miasta. Zdecydowani byli towarzyszyć nam do końca mimo bombardowań, pożarów, braku żywności, a nawet wody.

— Ale wobec nierówności sił kapitulacja musiała nieuchronnie nastąpić. Jak pan przyjął wiadomość o upadku powstania?

— Pamiętam ciszę podczas zawieszenia broni. Byłem już wówczas podporucznikiem Kpt. Edmund Osielewski „Osa” odczytał nam rozkaz o kapitulacji. Żołnierze i oficerowie płakali. Tworzyły się delegacje do dowództwa, aby wymusić dalszą walkę. Ale oczywiście decyzje były nieodwołalne. Musieliśmy się z tym pogodzić. Pamiętam że tego dnia rankiem świeciło słońce. Na Nowym Świecie 6/10 odbyła się dekoracja poległych. Na drewnianych krzyżach zawisły Krzyże Wyzwolenia mieniące się w promieniach słońca. Dekoracji dokonywał Stefan Kaniewski w takt cichutkich, metalicznie brzmiających werbli wybijanych na blaszanych pudełkach. Potem przemówił dowódca pododcin-



Foto: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

zamilkliśmy. Ale gdy jeden z powstańców, ukazany na pierwszym planie, padł ranny w brzuch mocno krwawiąc, zapytałeś jakby tamtego z ekranu:

— Bardzo boli?
— W pierwszej chwili czuje się to jak uderzenie lub silne szarpnięcie, które nie tyle boli, co przeraża, gdyż zjawia się jakaś dziwna słabość. Zimny pot oblewa czoło, nogi stają się jakby z waty i ciało obsuwa się na ziemię. Ból przychodzi później, gdy minie już przerażenie. Mój był piekielnie rwący, zdawał się nie do wytrzymania, chociaż rana była powierzchowna.

Siedziałeś zamyślony.
— Jak to się dzieje? Ja bym tak nie mógł!

Zrozumiałem. Wszedłeś wyobraźnią w piekło i ogarnął ci strach.

— Nie bałeś się?
— Strach przed bólem i śmiercią jest tym większy, im bogatsza wyobraźnia i im bardziej rozwinięta wrażliwość. Mnie natura obdarzyła dość bujną wyobraźnią i chyba przez to. Podczas walk i robót konspiracyjnych strach stał się we mnie. Bywało niekiedy, że pragnąłem wrzyć się w ziemię, albo przemienić w kamień, byleby przestać grozić.

— A tuóć Krzyż Walecznych z powstania i Krzyż Zasługi z Mieczami z konspiracji?

— Bać się po ludzku nie znaczy nie wykonywać obowiązków. Spójrz na ekran!

Obraz przedstawiał jakby rzut z

— Bohater — powiedziałeś. Zaniepokoiłem się, czy nie nabierz przekonania, iż żołnierz ten poszedł tam po to, aby zostać „bohaterem”. Od czasu wojny drażni mnie słowo „bohater”, jak zresztą i kilka innych słów, spośród tak zwanych strzelistych używanych nieodpowiedzialnie dla wytworzenia podniosłych nastrojów. Niemalże młodych ludzi mego pokolenia, znarkotyzowanych wizjami bohaterskiej aureoli, odczułoby zawód, gdyby wojna nie wybuchła. Najbardziej żądni sławy

— Bywałem i ja w podobnych sytuacjach — dodałem. I wiesz co myślałem wtedy i nadal myślę o tym: „niestety, musiałem to zrobić”.
— Nie-ste-ty? Mu-sia-łeś?
Z ulicy Focha na plac Teatralny, na którym przez powstańców obsadzone były budynki Panien Kanoniczek, ratusz i pałac Blanka, wysuwał się powoli czolg otoczony kobietami i dziećmi.
— Nasz zdobyli czolg! — krzyknęłaś radośnie.
Poczułem ukłucie serca. Znałem

— Wszystko jedno — był oprawcą.
— Tak, to prawda — powiedziałem — lecz czy wiesz, że mógł zostać prawdziwym bohaterem, godnym najlepszej ludzkiej pamięci? Był tylko o krok, o mały krok od bohaterstwa. Mógł odmówić wykonania rozkazu — dodałem.

o strachu.
— Co potem było z nimi?
— Zostali potraktowani zgodnie z międzynarodowym prawem. Karmiliśmy ich na równi z nami, tak samo też byli leczeni. Widzisz — odwołałem się do filmowego obrazu — tu stawiają zastęki, do różnych robót garnęli się zresztą sami. Nie dowierzali nam, poznawali się takich po odrażającej uległości i uśluzności. Część jednak doceniała nasz ludzki stosunek, zaczęli dostrzegać prawdę.

— Jak to okazywali?
— Jeden z obrazów utkwił mi szczególnie w pamięci. Po wybuchu czolgu-pułapki, w połowie sierpnia przydzielono mi kilku jeńców do odgruzowywania składu cennych dla nas niewypalów niemieckich min i pocisków armatnich, umieszczonego na tyłach posesji, przed którą wybuchł ów czolg. Otóż gdy prowadzili Niemcy doszli do części ulicy Kilińskiego objętej wybuchem, stanęli jak wryci. Ulica, pokryta masą powstałą ze szluzu, krwi i popiołu, zasłana była spopielałymi nagimi zwłokami. Moi Niemcy stali wstrząśnięci, ruszyli dopiero, gdy im groźnie ryknął; niektórym sphywały łzy.

— Bał się, ludzie mogli ich załuc.
— Nie sądzę. Nikt na nich nie zwracał uwagi, po prostu przeżywali po ludzku i po swojemu czuli się także odpowiedzialni. Rozdzielając pracę ich podoficer powiedział: „Ostatnia nasza robota kamraci”. A zapytany o sens tych słów, odpowiedział mi: „Po tym świństwie rozstrzelacie nas wszystkich, to jasne”. „Was i bez tego zabiją jeńców, ale nasze obyczaje są inne” odrzekł mi i dodałem o co my walczyliśmy. Był zdumiony, następnie zabierając się do roboty, powiedział: „Dziwni ludzie, w piekło mówią o prawach i moralności”. A ja mu na to: „To właśnie ta ludzka słabość, którą wy, nadludzie pogardzacie”. Następnego dnia ten sam podoficer zameldował mi, aby mi przekazać wskazówki dotyczące bezpiecznego wydobywania trotylu z niewypalów, unieszkodliwiania min i rozbiierania „panzerfaustów”.

Byli i bardziej wymowne przypadki — ciągnąłem dalej — jak na przykład w pozostawionym po naszym wyjściu ze Starówki szpitalu przy ulicy Miodowej, w którym przebywali ciężko ranni powstańcy, a wśród nich trzej jeńcy niemieccy, rekonwalescenci. Ci jeńcy właśnie, gdy 2 września wpadli tam rozszarpani esesowcy, stanęli przed oficerem i opowiedzieli jak byli tu starannie leczeni i traktowani na równi z polskimi rannymi. Oficer kazał im milczeć i natychmiast opuścić szpital. Odpowiedzieli, że wyjdą razem z Polakami. „Z Polakami, powiedział oficer, dobrze” i puścił serię ze szmajsera w piersi tych Niemców. Następnego dnia przesyłano rannych powstańców, sanitariuszy i lekarza, potem z kanistrów polała się benzyna po postaniu i podłodze, reszty dopełniły wrzucone granaty zapalające. Opowiadał mi to ranny sierżant, który powtórnie naczył i poparzony cudem wyszedł z tej opresji.

Film zbliżał się ku końcowi. Ujrzelśmy na tle ruin i z dala dymiących pożarów, formujące się kolumny marszowe powstańców, punkty zborne i wreszcie długi ciąg czwórek opuszczających Warszawę.

— Uciekłeś?
— Wywinąłem się za zgodą moich przełożonych. Twoja mama liczyła zaledwie piąty rok życia i wujowie byli jeszcze szkrabami, musiałem do nich.

— Jak dobrze, że nie zginąłeś!

HENRYK DINTER

ROZMOWA Z WNUKIEM



Foto: Archiwum

owo „zdobywanie” z własnych doświadczeń. Za kobietami i dziećmi dostrzegłeś ukrytych Niemców z wymierzoną w nich bronią, a w chwili później widziałeś, jak kobiety trzymając dzieci na rękach lub ciągnąc je za sobą, porwały się do ucieczki w stronę ratusza i jak padały trafiane kulami.

Niemieckie grupy szturmowe — w każdej, pod osłoną kobiet i dzieci, czolg oraz kilkunastu piechurów — posuwały się wolno ku środkowi placu, na ratusz. Raz po raz przystawały, chyba po to, aby obrońcy mogli się przyrzeć zakładnikom. Można sobie wyobrazić co czuli oni myśląc o dalszej obronie, a już szczególnie ci, którzy dojrżeli tam swoich bliskich.

— Musiałem walczyć, a „niestety” mówię w tym samym sensie, w jakim może o sobie powiedzieć poparzony człowiek, który uratował rodzinę i dobytek w czasie pożaru własnej zagrody.

Nie patrzyłeś jak powstańcy zaczęli się bronić. Rozumny był dowódca rezerwy ratuszowej — i za to chwala mu. Nie kierował ognia na wprost. Z boków były nasze ciężkie karabiny maszynowe usadowione w narożniku pałacu Blanka i w kamienicy przy rogu Bielańskiej, siegając Niemców poza linię kobiet, tych zaś, którzy kryli się wśród kobiet, wyłuskivali wyborowi strzelcy. Nasz ogień zresztą wybuchł niespodziewanie i wywołał popłoch: piechurzy szukali osłon, a kobiety z dziećmi pędem ruszyły ku naszym barykadom — w znacznej też większości zdolały dobiec i uratować się.

Kiedy ponownie spojrzeliś na ekran, na obszernym placu Teatralnym leżało wiele nieruchomych postaci. Niemcy zabierali swoich zabitych. Zaczęli od oficera. Próbowaliśmy rozpoznać jego stopień wojskowy.

— Epolety gładkie, nie plecionka — zastanawiałem się głośno — porucznik lub kapitan. Sam tego nie wymyślił, wykonywał rozkaz wyższego dowódcy.



Foto: Archiwum

góry postaci mocno przywartej do dachu małego domku, ukrytej za kominem. Z układu ciała i pistoletu maszynowego gotowego do strzału widoczne było napięcie uwagi.

— Wysunięta czujka — objaśniłem — żołnierz ten ma powitać ogień nadchodzących Niemców, czym zalarmuje swój oddział, i dopóki zdoła, musi powstrzymać atak. On też ma bliskich, może maleńkie dzieci, kochającą matkę, żonę, jest młody, chciałby żyć i wrócić cały do swoich. A tu lada chwila może nadlecieć samolot i zmieść go wraz z osłaniającym kominem, albo pojawi się silny oddział niemiecki uzbrojony w ciężkie karabiny maszynowe, może i w czolg. Jego własne strzały zdradzą go. Czy on nie wie, co może go spotkać? Lekkoomyślnych i fanfaronów nie posyła się na takie posterunki.

siegaliby po nią jeszcze przed wojną, podając się do gazet jako kandydaci na „żywe torpedy”. Ale już pierwsze dni wojny poczęły gasić marzenia o bohaterskiej sławie. „Pole chwały” rozpostarło się bezgranicznie poza fronty walczących wojsk i okazało bezkształtnym koszmarem chłonnym bezmiennie najbardziej heroiczne wyczyny. Cóż mogło znaczyć wtedy słowo „bohater”, jeśli w niezliczonych przypadkach zwykłe zachowanie ludzkiej godności wymagało okazywania nadludzkiego męstwa? Nawet oburzało, gdy nasi sprzymierzeńcy, zamiast wykonywać zobowiązania, stali nam „podziw bohaterstwa”, lub piękne epitety o „natchnieniu narodów”.

— Chodzi o wykonanie zadania — powiedziałeś i zapewne sprawilem ci zawód, redukując czyn bohaterski do prostej żołnierskiej powinności.

OCZEKIWANIE

„Okupowanej Warszawy dzień powszedni” Tomasza Szaroty — oto książka, która zrobiła oszałamiającą karierę w ostatnich miesiącach. Wystarczy zresztą wspomnieć, że na giełdach antykwarycznych cena tej książki osiąga sumę półtora tysiąca złotych — aby zrozumieć, jakie emocje i napiętności wywołała praca warszawskiego historyka.

W tym zgodnym chórze zachwytów — na które zresztą praca Szaroty w pełni zasługuje — jak gdyby o czymś zapomniano. Otóż książka ta już się przed sześciu laty ukazała — tylko wówczas przeszła raczej bez echa. A zatem run na publikację Szaroty świadczy o jakiejś erupcji zainteresowań tematem okupacyjnym, a może w ogóle patriotycznym, wolnościowym? Jest zresztą po temu stosowna okazja — czterdziesta rocznica tragicznego Września.

Przed paru laty ukazała się inna książka, podobna w charakterze do dzieła Szaroty — „Kronika okupowanego Krakowa” Tadeusza Wróńskiego, i to dzieło — nieoceniony dokument lat okupacji — przeszło raczej bez echa. Podobnie jak trzy tomy rewelacyjnych „Dzienników” Ludwika Landaua, z których zresztą Tomasz Szarota czerpie bardzo wiele informacji. Przypuszczam, że gdyby dziś znówiono zarówno „Kronikę okupowanego Krakowa”, jak i „Dzienniki” Landaua — byłyby to mrowina bestsellery.

Zjawisko popularności pewnych tematów wśród czytelników kęgów, nie jest tym razem wynikiem określonych manipulacji grona zawodowych recenzentów. O głośnej książce Szaroty, wbrew pozorom, nie napisano zbyt wielu recenzji, mimo że od jej wydania upłynęło już osiem miesięcy. To po prostu spontaniczne, autentyczne zainteresowanie tematem wyniosło tę książkę na szczyty popularności. Tym większe, że często opartej tylko o „wieść gminną”, bo przecież jej nakład — 10 tysięcy egzemplarzy — nie zaspokoił nawet potrzeb czytelników jednej tylko dzielnicy Warszawy.

Pisząc o erupcji zainteresowań tematem okupacyjnym — nieprzypadkowo przywołałem tu głośną książkę Tomasza Szaroty. Nie zamierzam jej recenzo-

wać — jest to zadanie dla historyka. Nie zamierzam jej również streszczać — jest to bowiem zadanie niewykonalne.

Chcę natomiast posłużyć się nią jako przykładem mądrej, potrzebnej działalności historyka. Takiej działalności, jakiej zabrakło w Łodzi.

Było to miasto miejscem szczególnym. Miało swoją okupacyjną specyfikę. Było to miasto żyjące w zupełnie odmiennych warunkach niż Warszawa czy Kraków. Było to miasto brutalnie i na siłę niemieckie — a przecież żyło w nim kilkanaście tysięcy Polaków.

I to miasto — niecodzienne i umęczone — nie mogło się doczekać swojej kroniki lat okupacji. Zaden łódzki historyk nie podjął takiej pracy, która w sposób całościowy nakreśliłaby obraz dnia powszedniego Łodzi w latach 1939—1945.

Owszem — w latach minionych wydano kronikę łódzkiego getta, jest parę wycinkowych, przyczynkarskich opracowań — bardzo zresztą cennych — jak choćby Jaśkiewiczza i Woźniakowskiego praca o tajnym nauczaniu. Ale — powtarzam — nie ma obrazu dnia powszedniego okupacyjnej Łodzi.

Wielka szkoda i zupełnie nierozumiała wstrzemięźliwość. Nawet czterdziesta rocznica Września, nawet żywe czytelnice zainteresowanie — nie potrafiły nikomu podsunąć pomysłu takiej książki. Nawet fakt, że podobne publikacje o Warszawie i Krakowie ukazały się przed paroma laty — też nie zainspirowało nikogo.

Nie mam przeto nadziei, że kogokolwiek zainspirowe mój głos. Ale słuchając — składając słusznych — zachwytów nad monografią Szaroty — nie mogę ukryć irytacji, że to miasto nie zdołało wychować swojego kronikarza. Nie znalazł się nikt, kto by podjął benedyktyński trud odczytania z archiwów, gazet i wspomnień — obrazu powszedniego dnia polskich mieszkańców tego polskiego miasta włączanego do Trzeciej Rzeszy.

Ten wielki i potrzebny temat czeka na swojego autora. I Łódź czeka na tę książkę.

JERZY WILMAŃSKI

KSIĄŻKA
NAKTÓRĄ
CZEKA ŁÓDŹ

CZĘŚĆ IV

— Właśnie, spokojnie! — zaproponowałem mediację przewodniczącego. — Nikt mniej niż pan Ceregra nie ma prawa do tłumienia krytyki.

— A to co nowego? — narodził się wicedyrektor.

— To znaczy, że powiedział mi pan już raz w cztery oczy: „Wy, Majak, trzymajcie lepiej buzię na kłódkę, bo nie minęły jeszcze trzy miesiące próby i możemy was w każdej chwili wyłać”.

Ceregra zerwał się z miejsca. Zwykle imponujący zimną krwią, tym razem stracił panowanie nad nerwami.

— To kłamstwo! — walił pięścią w stół. — Nie przypominam sobie tego człowieka. Nigdy z nim nie rozmawiałem — podenerwowany klął się z Mildem, który starał się go uspokoić. — Nigdy dotąd nie widziałem tego pana na oczu.

Podniecenie ogarnęło wszystkich nie wyłączając członków prezydium. Milde, Ceregra, Sapiński, Tuloczko, pani Iala wstali i weszli między sobą kłótnie gesticulując i dyskutując nie wiadomo o czym, w zgłębku i hałasie nie można było pojąć, o co się sprzeczą. Burzliwa wrzawa uniemożliwiła zrozumienie czegośkolwiek. Do spotęgowania harakteru przyczyniły się grzmienna, wdzierająca się z podwórza przez uchylone okna. W podwórzu mieściły się mechaniczne zakłady naprawcze, płynął stamtąd nasilający się lub na zmianę słabnący szum (palników), warkot (motorów), hałasy, stuk i grzmienna, osiagające w godzinach przedwieczornych, przed zamknięciem zakładów czy kuźni, rekordowy stopień decybeli.

Obłęd. Istne piekło, pomyślałem. Nagle uciszyło się. Gremium za stołem prezydijskim przestało dyskutować i wygrażać sobie wzajemnie palcami, i zajęło swoje miejsca. Tylko z podwórza wdierały się pisiki i zgrzyty, a spośród zebranych ktoś krzyknął zachęcająco: „Nic się pan nie bój! Wal pan dalej. Bez krepacji!”

— Tak, panie Ceregra — kontynuowałem. — „Wy lepiej trzymajcie buzię zamkniętą na kłódkę, Majak”. Tak pan powiedział. Może użył pan innych słów, może powiedział to pan do kogo innego, ale to do końca nie ma większego znaczenia.

Milde nachylił się do Ceregy i coś mu kłarował. Może teraz on doradzał, żeby Ceregra nie wdawał się w dyskusję ze mną?

— A więc panie i panowie — przemawiałem dalej. — Stoimy przed poważnym zagadnieniem. Co zrobić, żeby humanizować stosunki między ludźmi? Socjalizm uniemożliwił wyzyskiwoa, ale małe lotryczki czają się jeszcze tu i ówdzie i gniją po cichu najstabszych i potulnych, macą w głowach ukrywając swoje draństwo pod szczytnymi hasłami. A to wywołuje złą krew i obraca się przeciwko tym, którzy szczerze propagują naczelny cel socjalizmu: dobro każdego człowieka.

Entuzjastyczny zryw oklasków. Klaniałem się i dziękowałem:

— A więc, panie i panowie, gratuluje! Zapoczątkowaliśmy wielką akcję. Staneliśmy przed odwiecznym problemem walki ze złem i podważyliśmy wszechwładzę klikki. Przekonalizście się państwo, że nie jest to jakaś demoniczna i niewyściszona mafia. Są to zwykli ludzie, którzy różnią się od was tym, że opowiadają ich żądza szybkiego wzbogacenia się waszym kosztem i że obciążeni są bagażem przewinień, za które poniosą odpowiedzialność sądową. A więc są oni w znacznie gorszej sytuacji niż wy panie i panowie, którzy zgryźliście tylko biernością i niezdecydowaniem.

Milde zastukał metalowym nożem.

— Udzielam panu dziesięciu minut. Proszę się strzeżać, bo po dziesięciu minutach odbiorę panu głos.

— Grandal! Precz z przewodniczącym! Pozwolicie wypowiedzieć się człowiekowi! Nie tłumić krytyki! Precz z kliką! — z audytorium zrywały się okrzyki głośnej jak żywioł burzy nieliczne głosy moich oponentów.

Milczalem nie chcąc pomyśleć się zwycięstwem, jakie odniosłem. Milde pokazał na zegarek.

— Czas płynie.

— Dajcie mu gadać! — rozwiścieczył się magazynier. — Niech bajdurzy! Niech wybudzi wszystko do końca! — krzyczał w przypływie furii, w obliczu przegranej sprawy.

— Może zwariuje od tego gadania.

— Już zwariował — syknął przez zęby Milde.

Ze szczytą ironii wyraziłem moje ubolewanie. Milde wstał. Czarne okulary Twarz śmiertelnie blada.

— Nad sobą się pan lituj, nie nad nami.

— Zadawałem sobie pytanie — kontynuowałem — skąd brała się wasza bierność, panie i panowie, skąd to zniedołężnienie duchowe, marazm, niechęć do walki? Czy naciąg kliki był aż tak wielki? Czy nie uważacie, że rosnące nadużycia i defraudacje to za wysoka cena, jaką płaciliście za to, że klika pozostawiała was we względnym spokoju?

— Dowody! — Milde walnął pięścią w stół. — Dowody!

— Dowody? Chętnie służę. Mięsiąc temu zgłosiłem się do pana do gabinetu. A czy to byłem ja, czy kto inny, obojętne. Oczywiście, pan nie pamięta?

Zrobiłem pauzę. Nie było odpowiedzi.

— No właśnie. Nie pamięta pan. „Panie dyrektorze, mówię, z magazynu wywożę i kradną blachę”. Milczenie. Nie pamięta pan? Nie?

Milde milczał.

— „Dajcie złodzieja”, zażądał pan. Obróciłem się do zebranych:

— „Dajcie złodzieja”. Dobrze powiedziane, co? — mówiłem jowialnie. — Toż bym musiał samego naczelnego złapać za rękę.

Ogłoszająca wrzawa, gwizdy, nie wybredne wymysły i obelgi, rzucane przez ludzi klikki pod moim adresem: „Kłamał! Szpicel! Prowokator!”

Milde pochylił się nad stołem, wyciągnął ramię w kierunku pana Miecia i groźąc rozdygotanym palcem rozkazywał:

— Protokół pan! Zapisuj pan wszystko!

— Każde słowo? Kłamać? Szpicel?

— Wylizaj pan Miecio. — Prowokator też?

— Wszystko, powiedziałem. Idiota!

— Syknął dyrektor.

Stałem blisko stołu, słyszałem rozmowy nawet, gdy mówili szeptem.

zraziłbym sobie moich zwolenników, a po drugie — dąbnym do ręki orez moim przeciwnikom, którzy czyhając na moje potknięcie, to znaczy zmianę w mojej postawie, poczuliaby to za słabość i zaczęliby mnie atakować bez pardonu. Zaczęłem przemawiać.

— To nie wszystko, proszę państwa — kontynuowałem, pomimo że Milde nie przestawał słucać, a ktoś rozszochony krzyknął: „Dosty tych bezdur!”

Miałem jeszcze garść rewelacji w zapasie.

— To nie wszystko! Były też tak zwane porozumienia aluzyjne z naczelnym.

— Ciszal! Uciszył się! — wołano.

— To ciekawe. Mów pan! — zaczęli mnie moi zwolennicy.

— Słuchajcie! Słuchajcie! — wołali inni.

I stała się rzecz dziwna. Moi wrogowie znów umilkli, ciekawki, co mam do powiedzenia.

— Typ porozumienia aluzyjnego polega na tym, że do naczelnego przychodzi magazynier albo wicedyrektor i kładzie mu na biurko, powiedzmy, pięć tysięcy złotych w kopercie. Dający niczego nie żąda, przyjmujący udaje, że nie zauważa koperty, ale obaj wiedzą dobrze, o co chodzi. Po chwili dający wkłada kopertę do bocznej kieszeni marynarki naczelnego, który wciąż udaje, że o niczym nie wie.

Gwizdy, wrzaski, stukanie krzesła, wściekły rumor, stuk krzesła i tupot nóg wypełniły piwnicę. W momentach zachichającego tumultu syczał było stentorowy głos magazyniera: „Obrazil naczelnego! Odebrać mu głos! Odebrać mu głos!”

Milde dał mu znak ręką, żeby zamilkł.

— Minęło dziesięć minut — zwrócił się do mnie. — Odbieram panu głos.

— Pan mi chce odebrać głos? — uśmiechnąłem się. — To ja będę tym, który pana pozbawi głosu.

Magazynier, czerwony jak grzebień koguta, zaczął ciskać mięsem. Wycołowałem palec w jego pierś.

— I panu odbiorę głos.

— Wyrzucić uszarza — miał się.

— Nie robić tutaj kina!

— I panu — przesunąłem palec na Ceregra.

— Wotajcie woźnego! — piała pani Iala.

— Sami sobie z nim poradzimy — Sapiński cofnął się od stołu wywracając krzesło.

Wyjąłem z kieszeni i uniosłem do góry legitymację okazując ją osobom zasiadającym w prezydium.

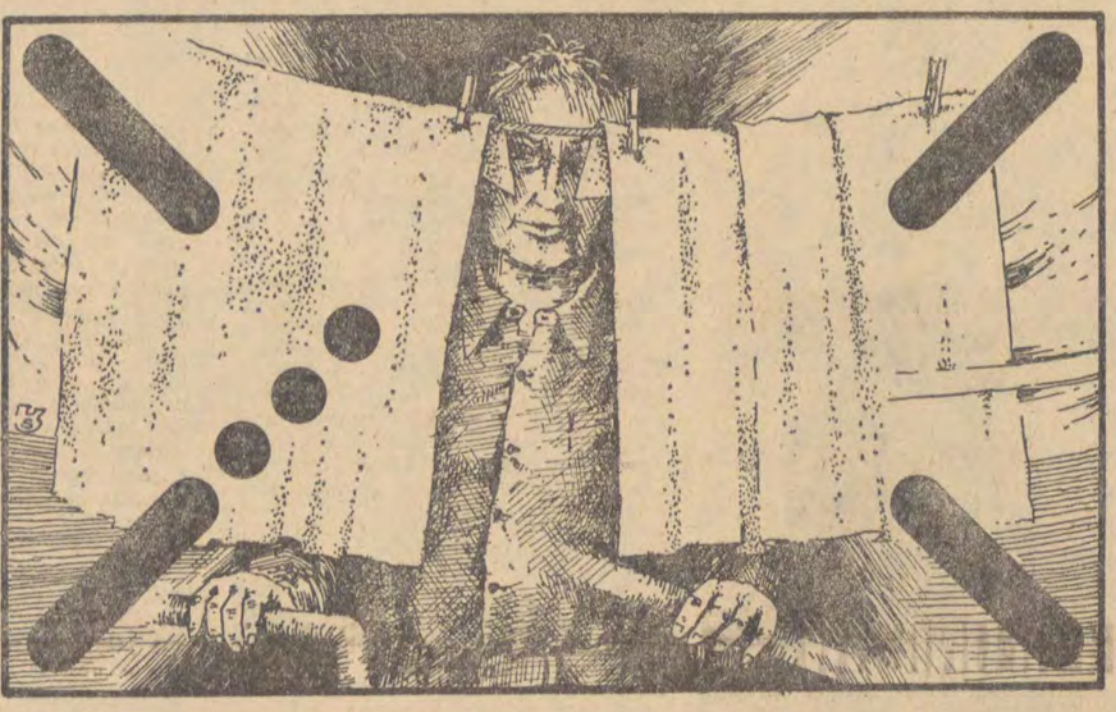
— Ani kroku dalej!

Cisza i wyczuwalne napięcie. Ktoś upuścił pieniądze. Syczał było uderzenie monety w kamienną podłogę.

— Zgroza świata — przeraziła się pani Iala.

— Zadajecie sobie państwo pewnie pytanie, jak doszło do tego, czego jesteście świadkami? — zwróciłem się do audytorium. — Zjemy w takim natłoku wróżek, proszę państwa, że

Władysław Rymkiewicz
FATAMORGANA



Rys. Janusz Szymański-Glanc

mi w kamienną podłogę. Uspokajającym gestem prosiłem o ciszę: „Warto posłuchać. To ciekawe” — zachęcałem.

— Inny typ aluzyjnego porozumienia. Przyjmujący zapytuje: „Za co to?” Donator odpowiada, że naczelnym ma przebiec tylko gołą pensję, więc po prostu z koleżeństwa, i naczelnemu wkłada kopertę do kieszeni.

Huragan śmiechu i ryku. Pogróżki ludzi sitwy: „Łgarzu, byłeś przy tym?”

— Odpowiem — zaproponowałem i uciszyło się. — Czy to byłem ja, czy może kto inny podglądał przez dziurkę od klucza, to przecież najzupełniej obojętne. Ważne jest, że taki fakt został zarejestrowany w pamięci widzów.

Sapiński wstał. Wsparł się obiema rękami o stół zaczął wrzeszczeć:

— Rozrabiacz, psiduszka! Obrazil naczelnego! Odebrać mu głos!

Nie zważając na awanturującego się magazyniera mówiłem dalej:

— Słotro już jestem przy głosie i mówię o tych przykrych sprawach, to chciałbym podzielić się z państwem moim poglądem na temat czynów zabronionych i ściganych przez przepisy prawa karnego.

Zrobiło się cicho jak w kościele. Nawet poplecznicy klikki słuchali z zainteresowaniem, ciekawki, co powiem.

— Jak już nadmieniałem, byłem słuchaczem Wyższej Szkoły Handlowej i musiałem studiować również prawo. Z moich studiów wyniosłem naukę, że przestępstwo jest objawem patologii społecznej. Są przestępcy, którzy z kradzieży robią sobie zawód i źródło utrzymania. To już objaw zbrodniczy i wyobraźcie sobie teraz państwo skutki przestępczej działalności, kiedy sytuacja psychopatów (bo inaczej tych osobników, dokonujących systematycznych malwersacji, nazwać nie można) owładnie jakimś zamkniętym środowiskiem. Znajdujecie się wtedy w klimacie bezprawia. Pracujecie w klimacie nieustającej zbrodniczości. Jak długo uczciwy człowiek może wytrzymać pracując w takiej atmosferze? Ocierając się o szantaz, defraudacje, zbrodnie? Ale co gorsza stajecie się, panie i panowie, odpowiedzialni za to, że tolerujecie w swoim biurze przestępstwo.

Rozdzierający wrzask, piekielne śledzenie aktualnych wydarzeń staje się coraz trudniejsze. Ale są takie sprawy, których prześledzić nie wolno. Idzie jednak nie tylko o to, żeby wysłuchać ostatnich wiadomości dziennika telewizyjnego. Idzie o to, żeby istniejące zło rozszerza się jak morze w czasie przypływu. I nie pozostaje nam już nic innego, jak obronić się przed zalewem, albo poddać się fali i utonąć. Dlatego tutaj przyszedłem.

Ktoś krzyknął: „No i dobrze!”

— Od dłuższego czasu krążyły pogłoski, że w „Undiquie” źle się dzieje. Donoszono nam o poważnych nadużyciach. Postanowiliśmy przeprowadzić dochodzenie. Zostałem odelegowany w charakterze poszukiwającego pracy. Rzecz jasna po to, żeby zdobyć dowody. Po miesiącu widziałem to, co wszyscy państwo wiecie, ale o czym nie chcieliście mówić głośno. Ze dyrektor Milde kombinuje z magazynierem. Ze Sapińskiego nazywają trzecim dyrektorem. Ze z magazynu za wiedzą dyrekcji wywozi się towar na lewo do prywatniarzy. Ach, nie wylizujcie wszystkiego!

Wskazując palcem na pana Miecia zażądałem:

— Pisz pan!

Nikt nie zaprzeczył.

— To nieprawda. Ja protestuję — odezwał się Ceregra.

— I ja — zawałił Milde. — Wierutnie kłamstwo!

Cofnąłem się o parę kroków i podniosłem stojący na ziemi dzban. Uniosłem dzban do góry dla okazania zebrany. — Moja prawda jest jak ten dzban. Stawiam państwu przed oczyma dowód rzeczowy — postawiłem dzban na stole i wskazując nań w tajemniczym szeptem, w jaki sposób znalazł się on w „Undiquie”. — Biedny człowiek przyniósł metal na złom. Nie znał jego wartości i otrzymał za srebro marne grosze. A cenny zabytek nie został zarejestrowany w księdze przedmiotów wartościowych.

— Zaraz! — zagrmiał Sapiński i chwyciłszy za dzban zamierzył się na mnie jak piłką.

Wyjałem błyskawicznie rewolwer z kieszeni.

— Spokój. Z urzędu śledczego jestem. Fakt.

Magazynier upuścił dzban z hukiem na stół. Cisza. Działem się nią chwilę.

— Wyobraźcie sobie państwo, co

byłoby dalej? Dokąd poniosłby nas ten dziki rumak, gdybyśmy go nie okiełznali? Poniosłby nas na zlamankarku. Ale teraz możemy powtędzić, że poranek jest mądrzejszy od wieczora. Chyba że uznamy się za błędzące bez sensu i celu istoty. Bo jeśli człowiek dojdzie do odpowiedniego stopnia uległości, to może zgodzić się na wszystko... Ale co powiemy o takim człowieku?

Pełna skupienia cisza pokwitowała moje słowa.

Arystoteles dowodził, że spadające ciało zwiększa swoją prędkość, ponieważ rośnie w nim radość z miarę zbliżania się do ziemi — kontynuowałem. — Ja bym zastosował to twierdzenie do waszej sytuacji, panie i panowie, i powiedziałbym, że w naszym środowisku rośnie radość z miarę, jak klika spada na te i szyję zbliżając się do swego nieuchronnego końca. Panie i panowie, moje gratulacje — ukloniłem się nieznacznie. Rozbiliśmy klikę, proszę państwa.

Burzliwa, nie kończąca się owacja. Przyłożyłem rękę do serca i skłoniłem głowę. Znałem anatomię powodzenia i powinienem się czuć usatysfakcjonowany, a jednak odczuwałem niedosyt. Satisfakcja z osiągniętego celu nigdy bowiem nie dorównuje sukcesowi, na jaki oczekiwaliśmy. Miałem przed sobą publiczność, z którą nie łączyło mnie nic prócz wspólnych oddechów, napięcia nerwowego, i że tak powiem, oczekiwaniami na moje efektowne chwytorytorskie, czyli na rozrywkę. Bo ludzie przede wszystkim lubią się bawić. Bawić się w nieskończoność. Nie znaczy to bynajmniej, żeby tenat mojej wypowiedzi nie leżała większości moich słuchaczy na sercu, ale omawiając go z różnych punktów widzenia wywoływałem, jak to najczęściej bywa, czasem aplauz, a czasem śmiech i psyania. Ta zmienność była źródłem emocji, która utrzymywała audytorium moje w napięciu. Ale jednocześnie była dla mnie ostrzeżeniem. *Vulgus amicitias utilitate probat.*

Oklaski ucichły.

— Po raz pierwszy przeżywałem podobne, niezapomniane chwile przed laty — widząc, że słuchacze biorą mnie za tego, za kogo się podalem, rozpoznałem tonem zwierzenia swój ulubiony numer o konsulu i filozofii — kiedy byłem konsulem w Marsylii. Palmy, błękit morza, Lazurowe Wybrzeże, Méditerranée, słowa Maupassanta wyrznięte na glazie pamiątkowym w uroczym żakietku nadmorskim: „Je n'ai vu rien plus merveilleux, que Le Cap d'Antibes au couchant du soleil”. I ja nie widziałem, jak słuszenie głosi ten napis, nie piękniejszego nad widok z przylądka d'Antibes o zachodzie słońca. Na kolorowych pocztówkach barwy wydają się nieco landrynkowe, ale w naturze wyolęda to piękniej niż Ogrody Semiramidy. Powiecie zapewne, panie i panowie, że piękno świata nie może być wystarczającym oparciem dla człowieka. Zapytacie, jak to ma związek z chwilą obecną, z naszym globem ziemskim, z energią nuklearną? Jutro. Odpowiem na to jutro. Tymczasem... Przepraszam, zgubiłem wątek. Jestem już trochę zmęczony. Brak głębokiego oddechu. Serce. Ale lza w oku się kręci, gdy pomyśle, czego przy udziale państwa dokonał. Nie muszę tłumaczyć, dlaczego ludzie pokrzywdzeni nazywają klikę zmora. Klika to drepcąca nas nocna zmora. Gratuluję państwu! Obudził się dzisiaj z ciężkiego snu, który nie będzie nas już więcej nawiedzał. Brawo!

— Zakłaskalem w dłonie.

Zgromadzeni odpowiedzieli oklaskami, wstali i manifestacyjnie wyrażali swoje uznanie. Eksplozja owacji. „Niech żyje konsul!”

— Dziękuję — klaniałem się. Ale pamiętajmy, proszę państwa, że najmniejsza chwila nieuwagi może zaprzepścić zwycięstwo. Klika jest jak siedmiogłowa mitologiczna hydra, której głowy odrastają natychmiast po odcięciu... O czym to ja? Aha, już sobie przypominam. Zawsze marzyłem o tym, żeby dokonać w życiu czegoś wielkiego i niezwykłego. Uczęszczałem ludzką uwalniając ją od lęku o wojnie nuklearnej. Ulżył ludzom w ich troskach i kłopotach. Zastąpił się jakimś wtekopomnym odkryciem naukowym dla dobra i postępu świata. Zaprowadzić sprawiedliwość, rozbić klikę... O czym to ja? Znowu zgubiłem wątek. Aha, sądziłem błędnie, że tylko mój tata, który nie pozwalał mi być tym, kim pragnąłem, był okrutnym tyranem. Nie, panie i panowie. Myliłem się. To świat kapitalu okazał się okrutny i tyrański. Tamten świat kapitalu na zachód od nas okazał się arena brutalnej walki i przemocy, potworną sceną triumfujących terrorystów i wyzyskiwanych ludzi pracy, zerowiskiem rekinków i sabatem czarownic, rajem dla monopolistów i żądnych zysku neokolonistów, ringiem szaleńców, domem obłąkanych, symfonią pełną nieznośnych dysonansów i okropnego zgłębku skłóconych namiętności.

Jakby dla ilustracji moich słów wybuchnął znów za oknami piekielny szum i warkot. W niemej rozpaczcy wzniosłem ręce, jakbym wołał o pomoc do nieba. Po chwili hałas ucichł.

— W tamtym świecie jedyną szansą wrażliwej, osamotnionej jednost-

LITER
ki jest z
rzyć inn
piękniejs
czynić i
pójście
sposób
państwo
wpływe
stałego
mojego
działaln
rekompe
brałem t
dzie... T
widzę,
zyciem
uroki
— Cz
ninówna
dal Tai
Mógłby,
dość w
objąć. F
przysto
ereint. U
dwie stro
— I r
tę — rze
— Nie
wał nad
grafi. P
chielemb
Zgubił
jeszcze
i celując
pytałem:
— Sap
nia Kart
Magaz
— Kie
— Sier
dział M
czymś.
— Zie
go. — K
siąc pię
stym ro
była De
Miecio
— Des
— Mit
dzień? F
go „Otel
Otella. S
nie posą
stosie w
Konste
radny u
— Pr
basilo.
Wycelo
— Pan
ga zasad
— Za
prędkość
południe
przykład
wania si
złów na
wiek sp
względ
którym
kość w
godzin
macja G
me obu
— Dos
A więc,
bie Dyr
lowany
wstał!
Milde
— Mō
Elzenber
nie prze
arena k
tonem s
leniem.
przykład
dzie przy
się z ty
profesora
— Ja
leń.
— Wszystk
cestuń.
— Br
więc, pa
rozkazyw
mendi.
czyż pan
zynu.
— Nie
sprzeżyw
wo zab
— An
Kto był
pesymist
— Nie
czuł Sap
— Ign
bełżywie
filozofii
hauer.
I dale
— Dy
przed m
Milde
dłwie b
prelegen
— Pa
— rozki
wie, cze
Mieciu...
Trzasł
zamek z
krecony
Zafasc
wydarze
nym tre
rezygn
niegdyś
pomnier
* Tu
rzyści
Na ty
tów na
kładem

Ki jest zamknąć się w sobie i stworzyć inny świat, własny, lepszy, piękniejszy. Tak też postanowiłem uczynić i zdawało mi się, że wszystko pójdzie dalej jak w zegarku. I w ten sposób zostałem konsulem. O, jeżeli państwo sędziacie, że działalem pod wpływem kompleksu niższości, powstaje pytanie o to, że w powieści tyranii mojego taty, i że sprężyna mojej działalności była wola mocy jako rekompensata za cięgi i bity, jakie brałem w życiu, to jesteście w błędzie... Teraz, z perspektywą czasu, widzę, że źle pokierowałem moim życiem. Byłem nadzbyt wrażliwy na uroki świata. Kobiety...

— Czy pan słyszy? — szepnęła Duninówna do Wencła. — Jaka szkoda! Taki inteligentny człowiek! Mógłby, jak to się mówi, do czegoś dojść w życiu, ale chciał za wiele objąć. Francuzi mają na to celne przysłowie: Qui trop embrasse, mal étreint. Coś w rodzaju naszego: Kto dwie sroki za ogon trzyma...

— I rozmienił się na drobną monetę — rzekł Wencel.

— Nie będę się dłużej zatrzymywał nad tym rozdziałem mojej biografii. Powiem tylko, że... Co to ja chciałem powiedzieć?

Zgubiłem wątek. Podeszedłem więc jeszcze bliżej do stołu przydzielonego i celując palcem w magazyniera zapomniałem:

— Sapiński, jaki jest rok urodzenia Kartezjusza?

Magazynier jakąś się bekotał:

— Kartez... Kart...

— Siedemnasty wiek — odpowiedział Milde. — Tysiąc sześćset z czymś.

— Zle — zganilem przewodniczącego. — Kartezjusz urodził się w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku. Teraz pan Miecio. Kim była Desdemona?

Miecio wybaluszył oczy.

— Desdemona?

— Miły Boże, jak można nie wiedzieć? Przypominam: opera Verdiego „Otello”. Desdemona była żoną Otella. Skromna, cnotliwa, niestusznie posiadająca o herezję, sponęła na stosie w 1431 roku w Rouen.

Konsternacja słuchaczy. Mój bezradny uśmiech.

— Przepraszam, coś mi się pokiełbasilo.

Wycelowałem palec w Smoleńca:

— Panie profesorze, na czym polega zasada transformacji Galileusza?

— Zależymy, że chcemy obliczyć prędkość człowieka spacerującego na pokładzie statku — Smoleń zaczął od przykładu. — Jeżeli szybkość posuwania się statku wynosi dziesięć węzłów na godzinę oraz jeżeli człowiek spaceruje z szybkością trzech węzłów w tym samym kierunku, to którym płynie okręt, to jego szybkość wynosi trzynastą część węzłów na godzinę. W przykładzie tym transformacja Galileusza stanowi prostą sumę obu prędkości.

— Doskonale! — pochwalilem.

— A więc, przedzi! Przypomniałem sobie Dyrektor Milde! — palec wycelowany w Mildego — Dyrektor Milde, wstać!

Milde wstał nieco zaskoczony.

— Mój przyjaciel, profesor Henryk Elzenberg junior, powiada, żeby nie przeklinać świata za to, że był areną klęsk i zawodów — mówiłem tonem swobodnej rozmowy ze Smoleńcem.

— Można przegrać bitwę u przylądka d'Antibes, który nie będzie przez to mniej piękny. Ale ja się z tym nie zgadzam. A pan, panie profesorze?

— Ja również nie — odrzekł Smoleń. — Trzeba przeklinać świat za wszystko zło, którym chce nas unicestwić.

— Brawo! — pochwalilem. — A więc, pan Miecio, wstać! Przedzi! — rozkazywałem tonem wojskowej komendy. — Magazynier Sapiński, wręczaj panu Mieciovi klucze od magazynu.

— Nie mogę oddawać kluczy — sprzeciwił się magazynier. — Prawo zabrania.

— Ani słowa! — zagrziałem. — Kto był współcześnie twórcą filozofii pesymistycznej?

— Nie wiem. Nie wiem. — warczał Sapiński oddając klucze.

— Ignorant — sklasyfikowałem obojętnie magazyniera. — Twórcą filozofii pesymistycznej był Schopenhauer.

I dalej komenderowałem:

— Dyrektor Milde wyjść i czekać przed magazynem.

Milde przesunął się szybko i wстыdliwie bockiem jak wygwizdany prelegent.

— Pan Miecio z kluczami za mną — rozkazałem. A wy, panie i panowie, czekajcie na mój powrót. Panie Miecio...

Trzasnęły grube drzwi. Zgrzytnął zamek yale. zachrobotał klucz przekrecony w drugim zamku.

Zafascynowany tym niezwykłym wydarzeniem, jak w somnambulicznym transie zastygłem w niemej rezygnacji, bierności i milczeniu, jak nagle gości weselni w tańcu zapomniała przed bronowicką chatą.

KONIEC

* Tłum cenil przyjaźń według korzyści (przyp. red.).

Na tym kończymy druk fragmentów powieści, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

WARIANT „A” CZYLI GRAND PRIX DLA PERKUSISTKI

W teatralnym programie Jarosław Abramow-Newerly zwierza się widzom, iż „Dno nieba” pisał z wyjątkową łatwością, jakby w transie; dodaje też, że sama rzecz zdaje mu się gorzka, mówi o jego pokoleniu, o daremnych ambicjach i goryczy nie spełnionych marzeń.

Szczerzość za szczerzość: jestem równieśnikiem autora, znam cokolwiek sprawy, o których pisze, a przede wszystkim znam postykę estradowego objazdu, wluhiwałem się tedy w tę gorzką komedię z dobrą wolą i ogromnym zaciekawieniem, niestety zaciekawienie przemieniało się w znużenie, dobra wola słabła, a skupiać uwagę

Z SYBERYJSKICH POLONICÓW

Wprawdzie do Nowosybirka jest od nas bardzo daleko, jednak tematyka badań, prowadzonych przez tamtejszych historyków, jest nam szczególnie bliska. Zagadnienia politycznych, społecznych i kulturalnych dziejów Syberii nie mogą bowiem być obojętne dla polskich historyków, już bodaj tylko ze względu na aktywny udział licznych polskich zesłańców w życiu tego ogromnego kraju, zarówno w XIX, jak i w początkach XX stulecia. Podług informacji, opublikowanych w 1975 r.

ZIARNO

„Baj”. To krótkie słowo w pierwszej chwili niewiele prawdopodobnie może znaczyć dla dorosłych czytelników. Łatwiej byłoby nawiązać kontakt z młodymi łódzkiimi widzami, którzy ostatnio w 1977 r. mogli zetknąć się z tą nazwą. „Baj” jest teatrem lalek, a 2 lata temu prezentował w naszym mieście sztukę pt. „Samosiejek” autorstwa J. Jelisiejewa.

Zakłócenie w porozumieniu się o których wzięj mowa nie powinny stanowić jednak przeszkody na tyle silnej, by nie pisać o książce wydananej z okazji 50 rocznicy pracy teatru. Warto poświęcić uwagę „Bajowi” bowiem jego znaczenie wykracza poza fakt bycia na widowni i znajomości spektakli. Analizując i szukając tego co dziś żywe w sztuce i oddziaływaniu zespołu, trzeba by sięgnąć do do-

do końca było mi już ogromnie trudno. Być może sztyf, jakim posłużył się Abramow, okazał się zbyt trudny, być może Barbara Kilkowska, reżyser widowiska, nie zdolała odczytać podskórnie bieżących tropów, w każdym razie za porażkę — bo to jest porażka — nie winiłbym wykonawców, których nie tak dawno jeszcze oklaskiwałem w kabaretowym programie Jana Pietrzaka, a i dziś, mimo wszystko, chciałbym móc pochwalić.

„Dno nieba” jest hybrydą, dziwnym stopem ni to komedii, ni to melodramatu, niepostrzeżenie przegradzających się w estradową składankę wykonywaną na zasadzie teatru w teatrze. Autor z pewnością chciał czegoś więcej, umiejętnie rozstrawił figury i w ekspozycji potrącił kilka tonów jednocześnie, potem jednak pomysł jakby wymknął mu się z rąk, usamodzielniał...

Poznajemy Bete, piosenkarkę, gwiazdę estradowego programu, eks-żonę niedającego Stefana, który specjalnie przyjeżdża, aby zasiąść na widowni. Bete pije przed rozpoczęciem koncertu, a to zły znak, ta gwiazda zdaje się przetykać, może zresztą nigdy nie zażasniala pełnym blaskiem.

Partnerem Bety — w życiu i na estradzie — jest Zużu czyli Ryszard, utalentowany — jak się zdaje — kompozytor, dziś rozdarty między chałturą a sztuką. Też miał żonę, którą rzucił dla Bety, a Bete rzuciła najprawdopodobniej dla młodzieńczej Leny; przynajmniej Lena ma na to ochotę, bo być z Ryszardem, to znaczy zacząć wspinać się po szczebelkach piosenkarskiej kariery.

Słowem, można powiedzieć, normalka, iuż ja znalazłem takich Ryszardów i iuż znalazłem takich Leni. Nawet Bete znalazłem pewnie, choć być może nie tę samą, którą skłopiwał Abramow; tak „Dno nieba” zdaje mi się być sztuką z kluczem, choć wówczas byłaby to przede wszystkim opowieść dla znajomych.

Są i inne figury, mniej ważne dla rozwoju akcji, ale podpatrzone bystrze, zarysowane satyryczną kreską. Kolejna piosenkarka, wieszanie młoda

Regina (Aleja Krawczykówna), niezłomny chałturzysta pan Ziętarek (Paweł Kruk), beztroško zadowolony z siebie iluzjonista Tiko-Tiko (Ireneusz Kaskiewicz), obrotny szef orkiestry Cykor (Marek Kolačzkowski). Spoza zespołu poznajemy dwie osoby: niezbyt rozgarniętego, ale za to podejmującego artystów z gestem Naczelnika (Henryk Siaszewski) i upojnie flegmatycznego Strażaka (Czesław Jaroszyński), któremu ze wszystkich możliwych czynności najmniej chętnie powierzałbym gaszenie ognia...

Naszkoconych wątków Abramow jednak nie rozbudowuje, ma zespół, ma scenę — ściśle: remizę strażacką — ma też widownie, przeto rozpoczyna koncert i w trakcie tego koncertu wszystko właściwie ma się rozegrać. Bete proponuje przyjąć wariant „A”, czyli — domyślamy się — zrealizować najambitniejszy układ programu, zazerwowany zazwyczaj dla władz i recenzentów. Śpiewa też skomponowaną przez Ryszarda piosenkę Taliany, mówiącą o niej samej. Ryszardzie i Stefanie siedzącym na widowni; w odpowiedzi Stefan przesyła jej kwiaty z jakimś błękitkiem i wyjeżdża nie dozwadzając końca koncertu, co stanowi zapewne dramatyczną kulminację, niestety najzupełniej nieczytelną.

Takich znaków zapytania będzie więcej. Piosenki, niestety w przytaczanej większości nie najciekawsze muzycznie, rozdzielają się jak gdyby na dwa nurty. Bete śpiewa utwory trudne, nie bardzo przystające do koncertu w remizie strażackiej reszta zespołu ma repertuar połączony popularny, choć nie umie się zdecydować: szmirzyć, czy też potraktować występ serio. Poza jednym czy dwoma układami mającymi dwuznaczny walor świadomie zamierzony tandety, program wykonywany jest w rezultacie bardzo dobrze i możemy jedynie zgadywać: chałturzy ten zespół, czy też stanowiłby forpoczta rzetelnej kultury.

Zbyt częste zawieszanie głosu przez autora, poparte wyraźnym brakiem zdecydowania reżysera, przesadzają właściwie sprawę. Nie wiemy, co o-

naukowej wysoko oceniono wartość opublikowanego w 1975 r. w Nowosybirsku tomu zbiorowego, opatrzonego tytułem: „Zsyłka i katorga na Syberii (XVIII — początek XX w.)”. Dziś mam przed sobą kolejny tom tego rodzaju zbiór, zatytułowany: „Zsyłka i społeczno-polityczne życie Syberii (XVIII — początek XX w.)”, opublikowany w Nowosybirsku w 1978 r., jako wydawnictwo Oddziału Syberyjskiego Akademii Nauk ZSRR.

Polonistów jest w tym wydawnictwie wiele: większość ogłoszonych tu studiów i przyczynków nawet, jeśli nie jest to zaznaczone w tytule, ma jakiś związek z naszą polską historią. Jest tak zarówno w przypadku pracy E.S. Chazlachmetowa o zorganizowaniu ucieczek zesłańców politycznych z Syberii w okresie od 1906 do 1917 r., jak i rozprawy L. P. Roszczewskiej o zachodniosyberyjskiej zsyłce politycznej z lat osiemdziesiątych minionego wieku.

Niektóre jednak spośród ogłoszonych tu studiów odnoszą się bezpośrednio do zagadnień polskich. Tak też jest w przypadku nader interesującej rozprawy S.F. Kowala, opatrzonej tytułem: „Polscy zesłańcy i organizacje narodowe w wschodniej Syberii w latach 1879—1882”, przynoszącej nie znane dotąd informacje o udziale Polaków w syberyjskich ośrodkach badawczych. Przed niewieloma laty również i w naszej prasie

świadczą współczesnych nam teatrów lalek i teatrów dziecięcych. Jednak wbrew pozorom nie udało się na tej drodze wyczerpać problemu. Wartość „Baja” wychodzi daleko poza obszar zawodowstwa. H. Jurkowski, znawca przedmiotu, tak pisze o efektach, niesprowadzalnych do spraw profesji: „Tradycja „Baja” jest zatem uchwytana i plodna w dalszym ciągu. Zawodowe teatry lalek podejmują tylko jej cząstki, która wyraża literacką i teatralną spuściznę zespołu z Żoliborza. Innych śladów tradycji „Baja” trzeba by szukać w innych środowiskach — wśród amatorów lalkarzy. W małych społecznościach osiedli miejskich czy może nawet w domach kultury. Ślady te istnieją bardzo wyraźnie. Nie tylko w „Bajowej Gromadce” która od lat pracuje na Żoliborzu w osiedlu WSM — jak przed laty — lecz w bajowej gromadzie wszystkich miłośników lalek i dzieci (właściwie człowieka), którzy na wzór „Baja” pracują we wszystkich zakątkach kraju”.

U źródeł powstania zespołu leży fakt zdawałoby się bardzo prosty — otoczenie ciułowa szopka kuldeńkowa przygotowana przez Sz. Baczyńskiego. Właśnie to przedsięwzięcie dało początek 50-letniej historii „Baja”. Nazwa „Baj” zespół amatorów przyjął w 1930 r.

Pragnąc możliwie szeroko oddziaływać na swoich widzów zespół nie tylko dbał o przygotowanie pracowników, ale starał się o nowe teksty, które miały złożyć się na wypracowywany repertuar. Wiele informacji na temat początków „Baja” i jego działal-

głębokość, gorzka komedia, czy też wpisana w komedię estradową składankę. Nie wiemy, czy składanka miała być składanką, czy satyrą na składankę, ani czy pewną pretensjonalność mocno nudnawego programu przypisać Ryszardowi, a więc bohaterowi sztuki, czy też wręcz samemu autorowi komedii.

Wielu jeszcze nie wiemy rzeczy, z biegiem spektaklu staje się to objętne, losy bohaterów przestają nas bowiem obchodzić, a sam koncert nury coraz bardziej. Zał jedynie, że Małgorzata Rogacka-Wisniewska — wyraziście zarysowany postać Bety — nie ma materiału do rozwinięcia roli, ani nawet pełnej możliwości popisania się znakomitym, dramatycznym głosem i celną interpretacją piosenek. Stanisław Kwaśnicki (Zużu) śpiewał bardzo dobrze, po paru dniach od premiery nie wiem już jednak, co śpiewał, pamiętam natomiast ten gwałtowny, śpieszny pocałunek, jaki wyściskała mu na ustach Hanna Bieluzska (Lena). Bardzo ładny debiut i to podwójny — na scenie Teatru Im. Jaracza i w roli debiutującej piosenkarki.

Była to ostatnia premiera sezonu, przeto w antrakcie nieformalne jury złożone z łódzkich recenzentów Grand Prix za urodę przyznało Elżbiecie Kwiecień, perkusistce z sympatycznego zespołu Cykor-Boys.

JERZY PANASEWICZ

TEATR IM. JARACZA. SCENA „LIS” — Jarosław Abramow-Newerly: „Dno nieba” — Reżyseria i ruch sceniczny: Barbara Kilkowska — Scenografia: Stanisław Bakowski — Kierownictwo muzyczne: Piotr Hertel — Teksty i muzyka piosenek: Jarosław Abramow-Newerly — Aranżacja: Marek Czeszek i Wojciech Gułch — Efekty iluzjonistyczne: Józef Mioduszeński — Premiera 13 lipca 1978.

szono zostało kapitalne studium B.S. Szostakowicza poświęcone dziełom jego przodka — Bolesława Szostakowicza, uczestnika polskiego i rosyjskiego ruchu rewolucyjnego z lat sześćdziesiątych XIX w., oparte w znacznej części na materiałach rodzinnych, znajdujących się w posiadaniu autora. I wreszcie trzecia z prac, dotyczących bezpośrednio tematyki polskiej: krótki, źródłowy artykuł M.M. Gromycki p.t.: „Nowy dokument o dekabrystowskiej i polskiej zsyłce w zachodniej Syberii”. Przynosi on publikację interesującego, sporządzonego dla carskich władz spisu politycznych zesłańców, osiedlonych w byłej gubernii Tobolskiej, datowanego w 1858 r.

Tom zbiorowy p.t.: „Zsyłka i społeczno-polityczne życie Syberii”, opracowany przez zespół autorów pod redakcją L.M. Gorjuszkina, daje jak najlepsze świadectwo badaniom, prowadzonym przez syberyjskich historyków. Czternaście prac, które się nań złożyły, przynosi wiele nowych informacji, wydobytých z nie znanych źródeł, w istotny sposób uzupełniających i rozszerzających dotychczasowy stan naszej historycznej wiedzy. Dla polskiego czytelnika wydawnictwo to jest tym bardziej interesujące, że przynosi nader interesujące, nie znane dotąd polonika.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Teatrem Kukielkowym w Łodzi W. Wagner bardzo często korzystał z rad J. Wesolowskiego i zapraszał zespół na występy. Do „Baja” nawiązywał istniejący w Zawierciu teatr „Baj-Baju”. Powyższe przykłady wyraźnie wskazują na silne oddziaływanie artystów z Żoliborza na ruch lalkarski w naszym kraju.

W książce zamieszczono bardzo różnorodny materiał obok historycznego szkicu o teatrze lalek w epoce „Baja” w tonie znalazły się wspomnienia, fragmenty dziennika, rozmowa z współtwórcą. Wszystko to czyni całość jeszcze bardziej ciekawą i przystępną. Dobrze się stało, że zadano o to, by pomieścić w pracy kalendarium począwszy „Baja” od początku istnienia aż po dzień dzisiejszy. Prace nie zawsze były łatwe, bowiem archiwum teatru sponęło w 1944 r. Informacjom o pracy zespołu datom premier, tytułom sztuk itp. standardowo w danym na temat przedstawienia towarzyszą fragmenty z recenzji wiodowa „Baja” Pozwała to na choć częściowe zapoznanie się z replecją sztuk przez krtyków. Całość pracy uzupełniają bogaty zestaw zdjęć dotyczących różnych etapów pracy, scen z przedstawień zdjęć członków zespołu itp. Tak więc również w warstwie dokumentacyjnej przygotowana i opracowana przez H. Jurkowskiego praca wykracza poza etap obojętnościowej publikacji. Nie dziwny się niczemu. „Baj” sobie na tego typu pracę aż nadto zasłużył.

KAZIMIERZ KOWALEWICZ

Dalszy ciąg ze str. 1

Kilkaset metrów dalej widnieją bardziej pokojowe napisy: „Seminole smokes cigarettes in 4,75”, „Osceola Trading Post”, „Discount cigarettes — cartons \$ 4,75”.

Amerikanie twierdzą, że one są rzeczywistą wizytówką dzisiejszych mieszkańców Everglades, a ściślej Indian Reservation, rozciągającego się na powierzchni przeszło 1,2 miliona akrów u wierzchołka florydzkiego półwyspu.

Niewielka osada niczym się nie różni od wielu podobnych, sennych miasteczek amerykańskiego Południa. Jak wszędzie parterowe drewniane domki, równiutko przyszyte trawniki, stacja benzynowa, parking dla samochodów z przyczepami campingowymi i dwa czy trzy sklepy składające się na całe osiedle. Rzucający się w oczy obcokrajowca wyróżnik stanowią jedynie słomiane dachy

co cena sprzedawanych tu papierosów. Płacąc po 4,75 dolara za karton zawierający dziesięć paczek papierosów kupujący zaoszczędza dokładnie 2,10 dol. Taki sam karton papierosów bowiem kupowanych w odległym o niespełna 5 mil Hollywood, czy innej miejscowości na Florydzie, kosztuje 6,85 dol. Gdzie indziej klient musi opłacić „state tax”, a sprzedawcy papierosów w Indian Village nie pobierają podatku stanowego.

Mieszkańcy Seminole Okalee Indian Village nie czują się związani jakimikolwiek zobowiązaniami wobec władz stanowych, a nawet federalnych, w Waszyngtonie. Są jedynym w Ameryce szczerem indiańskim, który dotąd nie wypadł z białymi fajki pokoju, ani nigdy nie uznał zwierzchnictwa „błędnych twarzy” na swoim terytorium. Czują się bezpośrednimi potomkami i spadkobiercami sławnego wodza Osceoli, który 1 listopada 1836 roku poderwał florydzkich Seminolów przeciwko bia-

„The Miami Herald” z 8 kwietnia 1970 roku pisze bez żenady, że w szkołach i na wyższych uczelniach Seminolowie mają opinię „głupich i upartych”. Nigdy bowiem nie zgłaszają się do odpowiedzi, nawet wówczas, gdy doskonale znają odpowiedź na pytanie zadane przez nauczyciela czy wykładowcę. W domu wpajano im, aby nie wywyższali się ponad innych i nie wysuwali do przodu cudzym kosztem. Uczniowie i studenci wywodzący się z wioski indiańskiej uważają, że wyrwywając się do odpowiedzi mogliby zdradzić tych, którzy — być może — nie przygotowali się należycie do lekcji bądź wykładu. Zaden dobrze wychowany Indian z plemienia Seminolów rów-

od rezerwatu w 1950 roku przez departament gospodarki wodnej oraz za ziemię, którą Seminolowie zgodzili się oddać pod budowę 10-milowej szosy z Fortu Lauderdale do Naples, nazwanej Alligator Alley. Nie uprzedzono Indian, że w Andytown, każdorazowo za przejazd samochodem pobierać się będzie 75 centów. Mało więc, że utracili grunty, to jeszcze teraz muszą płacić, aby się dostać z jednego końca rezerwatu na drugi.

Z upoważnienia Seminolów ich pełnomocnik usiłuje też unieważnić umowy dzierżawne, w których wykorzystano nieświadomość Indian i pominięto klauzulę uwzględniającą inflację dolara. Skutek jest taki, że dzierżawcy płacą za ledwie pięć pro-

centów oficjalnych danych, 1457 mieszkańców interriuru, tak świetnie opanowali zasady „wielkiej gry białych ludzi”. Bezrobocie stale obejmuje 35 proc. florydzkich Seminolów, co trzeci nastolatek — jak mówią Amerykanie — ma kłopoty z piciem, czyli w najlepszym razie jeszcze nie jest alkohikiem, ale już jest zagrożony nalożeniem. Dwie trzecie studentów seminolskich rezygnuje z nauki przed ukończeniem studiów. Właściciel sklepu z indiańskimi wyrobami artystycznymi, Jim Billie, uważa, że dotychczasowe programy rządowe zmierzające do poprawienia sytuacji materialnej i kulturalnej wszystkich Indian, ograniczają się właściwie tylko do zatrzymania ich w rezerwa-

NIEZWYCIEŻENI SEMINOLOWIE Z CUSTER STREET

garaży i budynków gospodarskich. Czasem też można spotkać starsze kobiety w jaskrawo kolorowych strojach, przypominających znane w Europie z ilustracji książkowych ubiory indiańskie.

Główna ulica nazywa się Custer street, od nazwiska gen. George'a A. Custer'a, który 26 czerwca 1876 roku poległ wraz z 276 żołnierzami Siódmej Konnej w bitwie pod Little Big Horn w stanie Montana, walcząc z Siuskami broniącymi świętych górz przed inwazją białych poszukiwaczy złota.

W Big Horn County koło Hardin urządzono Custer Battlefield National Cemetery ku czci jednego z największych w historii Ameryki pogromców Indian. Gdzie pochowano ciało przebitego bagnetem Szalonego Konia (Crazy Horse), gdy usiłował w trzy lata po głośnym zwycięstwie, z żoną chorą na gruźlicę wyostać się z rezerwatu, nie wiadomo.

O Siedzącym Byku (Sitting Bull), który wspólnie z Szalonym Koniem dowodził Siuskami pod Little Big Horn, wiemy tylko, że zginął wśród trzystu Indian ze szczeru Oglala, poległych w 1890 roku w bitwie pod Wounded Knee. Była to już osta-

łym kolonistom. W 1837 roku Osceola, w czasie rokowań pokojowych, został podstępnie uprowadzony, a następnie zamordowany. Walki trwały jeszcze pięć lat jego następcą, Koakuczi, w listopadzie 1842 roku podporządkował się żądaniu zwycięskich osadników, aby Seminolowie przesiedlili się do Oklahomy, do wyznaczonego Indian Territory, wraz z Czirokezami, Czoktawami, Czikasawami i plemieniem Kri. Wówczas obejmowało ono nie tylko Oklahomę, ale również Kansas, Nebraskę oraz Dakotę Północną i Południową. Utworzone w 1837 roku Indian Territory podporządkowano Ministerstwu Wojny jako tereny oddane w wieczne użytkowanie tzw. cywilizowanemu plemionom, w późniejszych latach stopniowo ograniczono, aż wreszcie w 1907 roku całkowicie włączono do stanu Oklahoma, a Indian osadzono w rezerwach...

Z „drogi piącu” do Oklahomy zdołało w jakiś sposób zbiec ok. 150 Seminolów. Wrócili do Everglades, skryli się w przepastnych bagnach i bezpiecznie przetrwali najgorsze lata bezwzględnej rugowania, gdy w prasie amerykańskiej tak „charakteryzowano” Indian.

niez nie spojrzysz w oczy starszemu człowiekowi, w ten sposób okazując szacunek należny z racji wieku...

„Chief” plemienia, piastujący swoje stanowisko od ośmiu lat, Howard Tommie, podkreśla, że nie jest wdzem, ale przewodniczącym. Współplemieńcy zwracają się do niego per „chairman”. Nie dziwi go zainteresowanie przybywcami z Polski. Wystarcza mu objaśnienie, że Polska znajduje się w Europie. Mówi z dumą:

— Jesteśmy Niezwycięzonymi Seminolami, nasi przodkowie nigdy nie ulegli przemocy białych przybyszów z oceanu. Chętnie zawrzymy traktat pokojowy z rządem federalnym, jeżeli zapewni nam, Niezwycięzonym Seminolom, taką samą pomoc jakiej udzielał i nadal udziela np. Japonii

cent kwot, jakie powinni przekazywać Seminolom, gdyby umieszczono w kontraktach odpowiednie zastrzeżenia.

Mimo tak poważnych kłopotów przewodniczący Howard Tommie nie wydaje się zbyt zmęczony. Jego pensja wypłacana przez władze federalne za administrowanie Indian Reservation i pilnowanie rządowych kontraktów wzrosła z 10 do 35 tys. dolarów rocznie. Widać te dochody w elegancko urządzonej living-roomie, gdzie siedzimy w głębokich fotelach, przy herbacie i krakersach. Gospodarz jest nawet zadowolony, że udaje mu się aż tyle odkręcać z federalnej pieczęci. Uzyskał pieniądze na bezpłatne posiłki dla starych Seminolów, kupno ambulansu sanitarnego i po dwie pary butów dla każdego dziecka indiańskiego.

— Trzeba się uczyć gry białego człowieka — powiada. — Musimy zastąpić naszą dawną „czerwoną siłę” na „zieloną siłę”, wyrażającą się w szeleszczących banknotach — dodaje pokazując nowiutkiego „Oldsmobile”, który stoi przed domem. Kilka dni temu kupił to auto dla swojej żony, która nie zgadza się z twierdzeniem męża, że musi zatrudniać białą sekretarkę, bo żadna Indianka nie nadaje się na taką posadę, ze względu na brak kwalifikacji, a zwłaszcza umiejętności stenografowania. Zona przewodniczącego uważa, że powód jest inny.

— To jasne — zbija argumenty męża — że gdyby zatrudnił Seminolkę, i stałoby się coś złego, czy niewłaściwego, to zaraz wszyscy by o tym wiedzieli...

Oznaki zamożności widać też przed kilkoma innymi domami — luksusowe chevrolety, corvety i cadillaci. To właściciele papierosowego biznesu. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych Robert Saticum, który początkowo przyłączył się do manifestującego w obronie Indian Marlona Brando, zorientował się, że lepszy interes zrobi handlując papierosami z pominięciem stanowych przepisów. Dziś jest już milionerem i ma basen kąpielowy wartości 200 tys. dolarów. W jego ślady poszli też m.in. Marcellus Osceola jeden z potomków legendarnego wodza i Teddy Nelson, który wstąpił się w popisowych zapasach z alligatorami, ale zrezygnował z tej kariery, gdy w czasie kolejnej walki dzięki gad odgryzł mu kciuka prawej dłoni.

W 1977 roku zjawił się w Seminole Okalee Indian Village pewien oficer z Organized Crime, instytucji zajmującej się tropieniem przestępstw podatkowych, i zamknął papierosowe sklepy składając skargę do szeryfa. Oświadczył, że stan Floryda traci 275 tys. dolarów rocznie z tytułu nie płaconych podatków przez właścicieli sklepów z papierosami. Indianie wnieśli sprawę do sądu i... wygrali. Indian Reservation jest bowiem terytorium federalnym i nie podlega stanowemu opodatkowaniu. Właściciel Indiańskiej Poczty — Osceola Trading Post — Tex Tiger, przypuszcza, że po tym incydencie dochody papierosowych wspólnot wzrosły do 800 tys. dolarów rocznie!

Nie wszyscy spośród liczącego, we-

tach, niedopuszczenia do integracji z całym społeczeństwem amerykańskim. Popiera tę opinię Robert North, Indianin z Nebraski, który poślubił Seminolkę i kieruje programem rozwoju psychicznego florydzkiego plemienia. Podaje, że wielu Seminolonów nie potrafi czytać i pisać po angielsku, porozumieć się z nimi można tylko w ich ojczystym języku. Oni właśnie twierdzą, że „biały ludzie sięją zło, przynieśli wodę ognistą i psują indiańskie dzweczki”, wobec tego najpierw sami powinni się nauczyć, co jest zło, a co dobre, i wtedy dopiero mogą przyjść do Seminolonów... R. North stara się ich przekonać, że nie ma już sensu ciągłe przypomnianie wyrażonych krzywd, trzeba brać, co się daje i trzymać język za zębami...

Tworząc rezerwy zakładano, że „problem indiański” sam ulegnie rozwiązaniu wobec katastroficznie niskiego poziomu przyrostu naturalnego. Dziś sytuacja się odmieniła. Licząca pół miliona mniejszość indiańska w USA ma wskaźnik przyrostu naturalnego dwukrotnie wyższy niż wśród ludności białej. Czy jednak Indianie zdołają wyostać się z rezerwatów, pokonać granice odwiecznej wrogości, przełamać bariery rozwoju technicznego i stać się pełnoprawnymi członkami amerykańskiego społeczeństwa? Wielu wybitnych polityków w USA twierdzi, że przede wszystkim należy to od samych Indian. Czy rzeczywiście?

Oto ukazujący się w Miami Beach „Tropic” przedrukował za indiańską gazetą „Alligator Times”, na zasadzie cudacznej ciekawostki, anonimowy utwór pt. „Boogie Czirokezw”.

Pakuje się chłopcy, łapiemy samolot
Do Narville, Tusconu albo aż do
Bangore w stanie Main.
Weźcie grosiaki, potrzebne nam
będą pieniądze!
Na Wielkiej Białej Przestrzeni
odbywa się zjazd...
Dlaczego jedziemy? Do diabła, kto
się tym martwi?!
Przecież to nasza, wspólna „Sprawa
Indian”
Zwołajcie więc wszystkich,
zbermy całą pakę!
Dlaczego jedziemy — zdecydujemy
po... powrocie.
Zapomnijmy o naszych kłopotach
i niewdzięcznej pracy,
I tak ludzie gadają, że rabowanie
jest naszym żywiołem,
Tańczmy więc i podziwajmy piękne
wideochil!
Zjednoczeni jadąc po Prawa dla
Indian...!

W komentarzu „Tropic” napisał: „Seminole strasznie lubią podróżować, jeżdżą na najrozmaitsze spotkania i konferencje. Ale podchodzą do tego bardzo cynicznie...”

Przewodniczący Howard Tommie tak mi powiedział, gdy się żegnaliśmy:

— „Pochowałem moje serce na Custer street”. To słowa białego, amerykańskiego poety Stephens'a Vincenza Beneta. Pięknie pisał on o Indianach...

KONRAD TUROWSKI



tnią krwawą rozprawą białych kolonistów z prawowitymi mieszkańcami Ameryki, którzy pomogli przybyłym 21 grudnia 1620 roku na pokładzie żaglowca „Mayflower” osadnikom w przetrwaniu zimy, wzniesieniu domostw i pierwszych zasiewach...

— Niemniej — delikatnie mówiąc — pozbawioną taktu decyzją władz stanowych, jak nazwanie jedynej w osadzie ulicy nazwiskiem gen. Custer'a, jest też nadanie północno-wschodniej części Indian Reservation, nazwy „Dade”, z kolei od nazwiska pułkownika Dade, który wstąpił się o krutnym tempem czerwonoskórych właśnie w okolicach Everglades...

Przewodniczący turystyczne określają osadę koło Hollywood na Florydzie jako Seminole Okalee Indian Village. Jeden z najpopularniejszych — „Tour Book”, wydawany pod auspicjami polężnej organizacji kierowców-amatorów, American Automobile Association, oferuje tu zwiedzającym „prawdziwie indiański styl życia, strzechy oraz walki zapaśnicze z żywymi alligatorami; codziennie od 10 ran do 4 po południu, dorosli płacą 3 dolary, dzieci w wieku 4—11 lat 1,5 dolara...”

Tymczasem żadna z wymienionych atrakcji nie ściąga tylu przybyszów,

„Jest to banda nędznych, brudnych, zawsonych złodziei, kłamców, oszustów i morderców, wstrętnych skunksów, żyjących się wewnątrzściami, o których natchmiastową eksterminację powinien modlić się każdy, z wyjątkiem rządowych agentów indiańskich i handlarzy...”

Seminolowie w Everglades ujawnili się dopiero u schyłku zeszłego stulecia, gdy biali, osiągnąwszy główne cele ekspansji i kolonizacji poprzez likwidację fizycznego zagrożenia ze strony tubylców, nagle dostrzegli barbarzyńskie postępowanie wobec Indian, a dziennikarz T.H. Tibbles objeżdżał Stany Zjednoczone z urodziwą córką wodza plemienia Ponca, opowiadając wstrząsające dzieje krzywd i eksterminacji na szlakach przymusowej tułaczki czerwonoskórych. W czasie I wojny światowej kilku Seminolów zgłosiło się ochotniczo do wojska. W 1919 roku, za zastąpienie wojenne, Kongres wreszcie przyznał obywatelstwo wszystkim Indianom w USA.

Pierwsze dzieci indiańskie przyjęto do szkoły w 1930 roku, ale jeszcze w 1949 roku misjonarz Kościoła Baptyстів wychował trzy młode Seminolki za to, że z jego synem pojechały na potańcówkę do Fortu Lauderdale...

czy Niemcom, z którymi USA też przecież prowadziły wojny...

52-letni Howard Tommie reprezentuje pogląd, że jeśli człowiek sam czegoś nie potrafi, powinien skorzystać z pomocy innego człowieka, który umie potrzebną pracę wykonać. Dlatego Seminolowie wynajęli białego adwokata Stephena Whlдена, który wszczął proces o odszkodowanie za zerwane w 1837 roku rokowania pokojowe. Rząd federalny zgodził się wypłacić 16 milionów dolarów. Powstał jednak dylenat, czy pieniądze te należą się również potomkom 10 tysięcy Seminolów, którzy przeszli „drogę piącu” z Florydy do Oklahomy. Oczywiście, H. Tommie upiera się, że całą sumę powinni otrzymać Niezwycięzonymi Seminolowie z Everglades, bo pobratymcy z Oklahomy, którzy nie musieli się ukrywać, uzyskali rekompensatę wystarczającą w ziemi i bydło. Sprawa jest tak skomplikowana, że obecny przy rozmowie członek rady plemiennej, 29-letni Mike Tiger, nie spodziewa się jej pomyślnego rozwiązania w najbliższym półwieczu.

Równie jałowo toczą się postępowania prawne w sprawie odszkodowania za 16 tys. akrów oderwanych

KRONIKA TYGODNIA

Kalendarzowe lato w pełni, wydawać by się więc mogło, że i w polityce wakacje. Tymczasem jest inaczej, a niektóre kraje przeżywają właśnie teraz kryzysy rządowe. Myślimy o Włoszech i Indiach. W pierwszym wciąż jeszcze po wyborach nie sformowany został nowy gabinet, w drugim — niespodziewanie doszło do dymisji rządu.

Sytuację we Włoszech określa się obecnie jako „impas w kryzysie”. Jak wiadomo — przedterminowo przeprowadzone wybory nie przyniosły zasadniczej zmiany w układzie sił. Partia chrześcijańsko-demokratyczna nie zwiększyła stanu posiadania w parlamencie, partia komunistyczna pozostała drugą partią kraju. Prezydent powierzył najpierw misję utworzenia rządu wielokrotnemu premierowi z ramienia chadeckiej — Andreottiemu. Jednakże stanowisko jego partii, sprzeciwiające się udziałowi komunistów w gabinecie, uniemożliwiło mu wywiązanie się z niej. Wówczas prez. Pertini wrócił się do przywódcy Włoskiej Partii Socjalistycznej — Craxiego, który opracował projekt formuły działalności przyszłego rządu. Chadeccy odrzucili projekt, wobec czego Craxi zakomunikował prezydentowi o niepoważeniu swej misji. Pertini, w chwili gdy piszemy te słowa, przeprowadza powtórna turę rozmów z przywódcami wszystkich włoskich partii. Domniemywa się, że kolejnym kandydatem na premiera może być znów polityk z szeregu chadeckich i tu wymieniamy się dwa nazwiska: — przewodniczącego senatu Fanfaniego oraz ministra spraw zagranicznych — Forlaniego. Czy to jednak, aby raz jeszcze posłużyć się powyższym określeniem, może wyprowadzić z „impasu w kryzysie”?

Był kryzys przed wyborami i jest po wyborach. Dlaczego? Bo chadeccy zamyka drzwi komunistom do rządu. Jej formuła: „bez komunistów rządzić nie można, ale nie można też z nimi” nie prowadzi do niczego. WPK, nauczona doświadczeniem, nie godzi się już bowiem na parlamentarne poparcie gabinetu chadeckiego, oświadczającą zwrócić: w rządzie lub o pozycji.

Istniejący aktualnie stan uniemożliwia podejmowanie decyzji gospodarczych, czym komentatorzy tłumaczą zaostanie się trudności we Włoszech i wzrost inflacji.

Inna jest przyczyna kryzysu rządowego w Indiach. Premier Desai podał się do dymisji po 27 miesiącach przewodniczenia rządowi w wyniku rozbieżności w obozie Janaty. W parlamencie ukształtowała się przeciwna mu koalicja „Jedności świeckiej, demokratycznej i socjalistycznej”. Mając do czynienia z dwoma grupowaniami w Izbie Niższej — prezydent Indii od Desai i Singha (ten ostatni przewodniczący wspomnianej koalicji) jedynki zażądał list zwolenników, aby zorganizować się który z nich rozporządza większym poparciem. W tym czasie Kongres Indry Gandhi udzielił bezwarunkowego poparcia Singhowi, co — wydaje się — przesądziło o desygnowaniu go na premiera.

Charan Singh liczy sobie 76 lat (jest wiec a siedem lat młodszym od Desai), pochodzi z Indii północnych i znany jest tam jako przywódca chiński. Na liście swych zwolenników otrzymal on poparcie różnych orientacji. Fakt ten — sadza niektórych obserwatorów życia politycznego w Indiach — może spowodować rozbieżności na tle takich choćby zagadnień, jak polityka wobec świata pracy i reforma rolna. Zdaniem twórcze może to zaprowadzić niestabilność rządu i przedterminowe wybory. Wzdarzenia nie muszą się jednak potoczyć w tym kierunku.

Czy zmiana rządu może wnieść jakieś nowe elementy do polityki zagranicznej Indii? Nikt takiej ewentualności nie przewiduje.

Na zakończenie tematu dodajmy, że po poniesionej porażce M. Desai zakomunikował, iż wchodzi się w ogóle z życia politycznego.

Często powracamy w „Kronice tygodnia” na Bliski Wschód. Tym razem chcemy zwrócić uwagę Czytelników na fakt wygaśnięcia mandatu sił ONZ na Szwajcarię.

Po zawarciu separatystycznego układu na linii kontaktu wojsk egipskich i izraelskich powstała nowa sytuacja. Sekretarz generalny ONZ — K. Waldheim postanowił więc nie występować do Rady Bezpieczeństwa w sprawie Doroznych Sił ONZ, ta zaś zdecydowała o niernadużeniu mandatu tych sił. W rezultacie najpóźniej w ciągu dwóch miesięcy nastąpi wycofanie wojsk. Jak wiadomo — służbę pokojową pełnili tam również żołnierze polscy. Waldheim serdecznie podziękował Doroznym Siłom ONZ, podkreślając, że w ciągu 6 prawie lat odgrywały one istotną rolę w przywracaniu pokoju i utrzymywaniu warunków pokojowych.

Komentatorzy zastanawiają się kto będzie nadzorował realizację traktatu egipsko-izraelskiego, gdyż Tel Awiw odrzucił projekt zastąpienia Doroznych Sił przez obserwatorów ONZ, co postulowały Stany Zjednoczone.

W. SŁAWSKI

Stanowisko Montgomery'ego podzielał admirał Doenitz, który, jak wiadomo, po śmierci Hitlera próbował przedłużyć agonię powalonego nazistowskiego Reichu. 3 maja 1945 roku wysłał Doenitz swego upoważnionego przedstawiciela, admirała von Friedeburga do kwatery Montgomery'ego z propozycją kapitulacji Wehrmachtu w północno-zachodnich Niemczech. Montgomery wyraził zgodę, wbrew rozkazom naczelnego dowódcy sojuszników sił ekspedycyjnych w Europie — gen. Eisenhowera, zabraniającym przyjmowania częściowej kapitulacji.

Lamiąc samowolnie rozkaz, Montgomery zdecydował o losie Niemców w swojej strefie, żądając kapitulacji wszystkich niemieckich sił zbrojnych w Holandii, Szwecji, Szwajcarii, Danii, na Wyspach Fryzjskich i na Helgolandzie. Ta kapitulacja otwierała jego armii drogę na północ. Akurat 3 maja Churchill otrzymał alarmujące informacje ze Szwecji, że wojska radzieckie dotarły do Warnemuende i zamierzają wkroczyć do Danii. Ogarnięty paniką Churchill kategorycznie zażądał od swego dowódcy wojskowego poddania błyskawicznej ofensywy i uprzedzenia wojsk radzieckich.

Pragnąc osiągnąć ten cel za wszelką cenę Montgomery był gotów pójść na znaczne ustępstwa wobec kapitulujących Niemców i dlatego pozwolił rządowi Doenitza we Flensburgu na kontynuowanie jego działalności, gwarantował oddziałom Wehrmachtu „honorową kapitulację na polu walki” i obiecał opiekę wojsk brytyjskich nad żołnierzami Wehrmachtu, ratującymi się ucieczką przed armiami radzieckimi.

4 maja 1945 roku Doenitz wydał jednostkom niemieckim w północno-zachodnich Niemczech rozkaz złożenia broni w ten sposób Dania, Szwajcaria i część Meklemburgii okupowali Anglii. W Norwegii — gdzie na rozkaz Doenitza do ostatniego dnia wojny zachowała zdolność bojową okupacyjna armia niemiecka (pod dowództwem gen. Boehme) licząca 340 tys. ludzi — oficerowie i żołnierze Wehrmachtu musieli złożyć broń, ale nie uważano ich za jeńców wojennych. Brytyjcy prawnicy wojskowi wymusili dla nich specjalny status: „Rozbrojony personel wojskowy”. W prawie międzynarodowym, wyjaśniali, „rozbrojeni personel wojskowy jest zupełnie inną kategorią ludzi” jest on armia zachowująca swoją poprzednią strukturę także po kapitulacji, ale podporządkowana nowemu kierownictwu politycznemu, to jest sojusznikom. Rozbrojeni żołnierze niemieccy „nie są jeńcami i nie są osobami deportowanymi, a czymś pośrednim”.

Używając tej pokrętej „terminologii” Anglii chcieli zawałować fakt, że w rzeczywistości wcale nie byli zainteresowani w likwidacji hitlerowskiego Wehrmachtu. Generał Boehme nadal dowodził swoją armią, oficerowie i żołnierze nadal pełnili swoją służbę i swobodnie poruszali się po okupowanej Norwegii. Różnica polegała tylko na tym że autorytet Hitlera ustąpił miejsca autorytetowi Winstona Churchilla.

„Specjalny status” armii niemieckiej, która skapitulowała w Norwegii, nie był wyjątkiem. Wszędzie — w Danii, Holandii, północnych Niemczech i we Włoszech — brytyjskie władze wojskowe dążyły do utrzymania wśród rozbrojonych niemieckich żołnierzy porządku i dyscypliny przyjętej w Wehrmachcie.

Wydawało się, że w ogóle nie się zmieniło: hitlerowski oficerowie i żołnierze nadal paradowali po ulicach miast, Anglii nie przekazywali niemieckim dowódcom karać żołnierzy za najniższe naruszenie dyscypliny równie surowo, jak robili to w III Rzeszy. Jeńcom wojennym pozostawiono nawet lekką broń maszynową,

przede wszystkim zaś tym dwudziestu tysiącom niemieckim żołnierzom, którzy, na rozkaz Anglików strzegli magazyny wojskowe brytyjskiej armii.

Dowództwo nad niemieckimi armiami i dywizjami, liczącymi około trzech milionów ludzi, przekazali Anglii trzem niemieckim generałom: Lindemannowi (w Danii), Blumenrietowi (w północno-zachodnich Niemczech) i Blaskowitzowi (w Holandii i na zachód od Wezery). W końcu maja 1945 roku te ugrupowania przesunięto do Szwecji-Holstyn, w rejon Kuskshafen-Emden-Wilhemshafen. Tutaj zostały one praktycznie podporządkowane wyjątkiem niemieckim oficerom, żołnierze przebywali na swobodzie, nie mieszali w obyczajach jeńców, lecz na prywatnych kwaterek „pod okiem” brytyjskich patroli, pojawiających się tutaj od czasu do czasu.

Niemieccy jeńcy pełnili służbę wojskową, jak gdyby nigdy nie i czuli się tak swobodnie, że amerykański

Doenitz i jego otoczenie wykorzystują do własnych celów napięcia w stosunkach między sojusznikami.

Churchill przez kilka dni sprzeciwiał się żądaniom Waszyngtonu i Moskwy zlikwidowania rządu Doenitza, ale później musiał ustąpić pod presją Amerykanów. 28 maja 1945 roku brytyjska policja wojskowa aresztowała Doenitza i cały jego aparat administracyjny, liczący około 300 osób.

Ale niemieckich oficerów i żołnierzy Churchill nawet nie tknął. Co więcej, polecił szefowi sztabu generalnego, Allanowi Broockowi, „przebadanie możliwości rozpoczęcia działań wojennych przeciwko Związkowi Radzieckiemu, gdyby w toku dalszych rozmów z ZSRR wyłonily się komplikacje”.

Nowe protesty z Moskwy i Waszyngtonu zmusiły wrzeszcze Churchilla do zmiany taktyki. Uwołnił z obozów wojskowych podstawową masę niemieckich jeńców wojennych (do września należało uwolnić milion ludzi), pozostawiając jednak „pod ręką” około pół miliona niemieckich żołnierzy. Ich dotychczasowe związki zostały zreformowane i otrzymały nowych dowódców.

Ale Związek Radziecki nie ustępował. Gdy w lipcu 1945 roku Churchill spotkał się w Poczdamie z Trumanem, następcą Roosevelta, i Stalinem (mowa o konferencji poczdamskiej, która odbywała się od 17 lipca do 2 sierpnia 1945 r.), przedstawiciele ZSRR wysunęli nowe oskarżenia. Stalin interesowało, dlaczego Churchill trzyma w Norwegii uzbrojoną armię niemiecką, Churchill udął, że nie ma pojęcia, o co chodzi. Twierdził, że po raz pierwszy słyszy o istnieniu takiej armii. „Ale mogę pana zapewnić, że zamierzamy rozbroić tę wojska” — powiedział Churchill. Wywołało to ogólny wybuch śmiechu.

Nim jednak Churchill zdążył podjąć jakąś decyzję, angielscy wyborcy głosowali przeciwko organizatorowi tajnej armii niemieckiej (delegacji W. Brytanii na konferencji w Poczdamie przewodniczył Churchill od 17 do 25 lipca. Po porażce Churchilla w wyborach parlamentarnych do Poczdamu przybył 28 lipca nowy premier Wielkiej Brytanii Clement R. Attlee, który kontynuował na konferencji ogólną linię polityczną Churchilla — red.). Labourystowski premier Attlee nie pałał jednak chęcią realizowania awanturniczego planu swego poprzednika, ale niektórzy brytyjscy dowódcy wojskowi nie przestawali naciskać, dążąc do urzeczywistnienia projektów Churchilla.

W przeciągu kilku miesięcy w Sojusznicy Radzie Kontrolnej, Amerykanie, Rosjanie i Anglii z uporem bronili swoich stanowisk w sprawie rozwiązania oddziałów niemieckich jeńców wojennych. Jeszcze w listopadzie 1945 roku jak stwierdził wysłannicy marszałka Georgija Żukowa, w brytyjskiej strefie okupacyjnej działało 5 niemieckich okręgów wojskowych, 25 obwodowych i miejskich komendantur wojskowych, okręg wojsk lotniczych z własnym sztabem oraz wiele pozafrontowych jednostek Wehrmachtu. (Te i szereg innych dowodów potwierdzających fakt, iż Anglii wbrew postanowieniom konferencji poczdamskiej i deklaracji o klęsce Niemiec nadal przetrzymywali w swojej strefie okupacyjnej wojska niemieckie zamieszczone w memorandum dowództwa wojsk radzieckich, który to dokument rząd ZSRR przekazał Sojusznicy Radzie Kontrolnej — red.). „Wszystko to nie było ani odrobine wytworem fantazji Rosjan” — pisze A. Smith.

Dopiero w styczniu 1946 roku Wehrmacht przestał ostatecznie istnieć. „Tajna armia” Churchilla została rozwiązana.

Tłumaczył: JERZY CZECH



dziennikarz H. Hill, przebywający w końcu maja 1945 roku w Szwecji-Holstynie czuł się bardzo nieswojo i odmówił „nieprzyjemne wrażenie, że wojna trwa, a ja znalazłem się gdzieś na tyłach niemieckiego frontu”.

W Związku Radzieckim odgadnięto zamierzenia Churchilla. Stalin mówił: „podczas gdy my wszystkich oficerów i żołnierzy armii niemieckiej rozbroiliśmy i umieściliśmy w obozach jeńców, Anglii trzymała wojska niemieckie w pełnej gotowości bojowej i nawiązują z nimi współpracę”.

Angielscy oficerowie na wszelkie możliwe sposoby rodmuchiwali antyradzieckie nastroje wśród niemieckich jeńców wojennych. Prowadzili wykłady nt. „bolzewickiego niebezpieczeństwa”, wykorzystując nieraz jako lektorów nawet b. funkcjonariuszy partii hitlerowskiej, jak np. b. gaulleitnera Hamburga — Karla Kaufmanna.

„Wielu niemieckich żołnierzy — pisze Smith — otwarcie mówiło o gotowości chwytności za broń jeszcze raz, żeby walczyć z Rosjanami”.

Waszyngton i Moskwa miały wrzeszcze dość gierek Churchilla z Niemcami. Stalin zażądał od sojuszników bezwzględnego aresztowania wszystkich członków rządu Doenitza, jak również niemieckich generałów i oficerów niższych stopni, stanowiących otoczenie tego rządu we Flensburgu. Otrzymał się ze swojej bierności Eisenhower. Szczególnie zniepokoiło go sprawozdanie jego politycznego doradcy R. Murphy'ego, nadesłane z Flensburga. Murphy informował, że

SPOTKANIA W BAKU

W stolicy słonecznego Azerbejdżanu, pięknym, łączącym sobie ponad tysiąc lat, Baku jest sporo niezwykle interesujących obiektów przetrwałej architektury wschodniej oraz budowli w stylu XIX-wiecznej secesji i na wskroś nowoczesnych. Projektantami wielu monumentalnych gmachów sławski, K. Skurewicz i wielu innych. W tym mieście bowiem istniały w swoim czasie dość liczna kolonia polska. Polacy pracowali przeważnie w zakładach przemysłu naftowego. Byli to potomkowie zesłanych przez cara tzw. „podjeźrzanych elementów polskich”.

Dziś Baku jest wielkim ośrodkiem kultury. O licznych w stolicy azerbejdżńskiej teatrach, dziełach wyższych uczelniach, konserwatorium przeszłości, itp. opowiada mi znany azerbejdżński dramaturg i dziennikarz kierownik działu sztuki i kultury gazety „Komunist” — centralnego organu Azerbejdżńskiej Partii Komunistycznej — Afgan Askierow.

— Nasze teatry — mówi Afgan Askierow — bardzo interesuje twórczość dawnych i współczesnych dramaturgów polskich. W związku z mającym się odbyć w roku 1981 w ZSRR Festiwalem Dramaturgii Polskiej, na scenach naszych teatrów będą wystawione utwory polskich autorów. Szczególnie interesuje nas twórczość T. Rożewicza, W. Gombrowicza, S. Mrożka.

Sam Askierow jest autorem wielu cennych sztuk. Jedną z nich, ekscentryczna komedia satyryczna pt. „Człowiek, który się nie śmieje” zainteresowały się obecnie teatry w Polsce.

Dyrektor Akademickiego Państwowego Teatru Opery i Baletu im. M. Achundowa, znany kompozytor Azer Biszew, również mówi o potrzebie nawiązania bliższych kontaktów twórczych między teatrami naszych bratnich krajów:

— Cieszymy się z dużego sukcesu, który odniósł w Polsce, przetłumaczony na język polski jeszcze w 1933 roku, znakomity utwór naszego wielkiego kompozytora Uzeira Gadzybekowa „Arszyn-Mal-Ajan” („Dziwczyna w zaskonach”). Grano go w Polsce podobno przeszło 1500 razy na scenach teatrów Warszawy, Gieźna, Olsztyna, Białogostoku, Wrocławia i in. Inny czołowy utwór Gadzybekowa, opera narodowa pt. „Ker-Ogly” („Syn ociemniałego”), oparta na historycznym eposie azerbejdżkim, jest uważana za prawdziwą perłę naszej kultury muzycznej. Dziełami naszego bohatera narodowego, Ker-Ogly zainteresował się w swoim czasie przysięciel Adama Mickiewicza, poeta i pisarz, Jan Chodko. Będąc na Kaukazie, zbierał materiały o nim.

Smigłowiec stał się groźnym konkurentem samolotu przy przelotach pasażerskich na dystansie do 500 km. Świadczy o tym liczba. Na przykład w USA już w najbliższym czasie można oczekiwać uruchomienia regularnych linii obsługiwanych przez smigłowce.

Z PRASY

Na czym polega ta fascynacja smigłowcem? Na tym, że maszyna ta pod względem komfortu, bezpieczeństwa i możliwości lotu w każdej pogodzie zaczęła się zbliżać do samolotu.

W ciągu wielu lat ten cywilny smigłowiec włókł się w ognie samolotów wojskowych, które produkowano do wykonywania ściśle określonych zadań: transportu wojska i techniki wojkowej, obserwacji z powietrza, walki z czołgami. Teraz w polu widzenia fachowców znalazł się smigłowiec. Ewolucję tę można objaśnić wieloma czynnikami o charakterze technicznym, a przede wszystkim „dwuturbinizacją”. To barbarzyńskie słowo oznacza, że klasyczny gazoturbinowy silnik ustępuje miejsca dwóm takim silnikom, jeśli tylko rozmiary smigłowca dopuszczają taką wymianę. I od tych dwóch turbina oczekuje się oczywiście podwyższenia bezpieczeństwa lotów szczególnie w warunkach, kiedy nieposłuszeństwo silnika może spowodować ciężkie następstwa.

Co się dzieje z jednosilnikowym smigłowcem w wypadku gdy silnik odmawia posłuszeństwa? Jeśli zdarzy się to na bardzo małej wysokości, niebezpieczeństwo jest niewielkie: pilot, wykorzystując kinetyczną energię śmigła nośnego, może wylądować. Wymaga to jednak doskonałej znajomości rzeczy. Jeśli natomiast awaria zdarzy się na większej wysokości katastrofa jest nieunikniona. Dlatego właśnie dwuturbinowy wariant — w jeszcze większym stopniu niż w samolocie jest jedynym sposobem zapewnienia bezpieczeństwa przy każdej wysokości lotu smigłowca. Pod jedynym warunkiem, że pozostała moc sprawnego silnika jest wystarczająca dla dalszego normalnego lotu.

Obliczenia wskazały iż dwuturbinowy smigłowiec zdolny do wylądowania „na sucho” z najbardziej trudnych sytuacji, powinien dysponować znaczną nadwyżką mocy silników A nadwyżką mocy „kosztuje drogą” z punktu widzenia wagi smigłowca. powstawała wymaga ona zwiększenia „wagi netto” maszyny, co bezpośrednio prowadzi do zmniejszenia użytecznego udźwigu towarowego. Trzeba było długo czekać nim pojawiły się dostatecznie lekkie turbiny które pozwoliły zastosować dwusilnikową kombinację, zresztą nie tylko na ciężkich smigłowcach. Drugim technicznym czynnikiem, który pojawił się w ostatnich latach, było znaczne uproszczenie konstrukcji nośnych śmigieł, dzięki użyciu do budowy łopatek śmigieł a nawet jego tulei, materiałów kompozytowych.

Warto wspomnieć o jeszcze jednym ważnym osiągnięciu w dziedzinie konstrukcji nowego typu smigłowców: stworzono systemy przeciwdziałające oblodzeniu nośnych łopatek śmigieł. Tak więc przy przelotach na dystansie 400-500 km smigłowce dostarczają pasażerów do miejsca przeznaczenia co najmniej tak samo szybko jeśli nie szybciej niż samolot, dzięki temu że pasażer nie traci droczonego czasu na drodze z domu na lotnisko i odwrotnie. Smigłowiec może bowiem lądować na matych lotniskach niekoniecznie oddalonych od miast.

„Science et Avenir” — Paryż

W Baku istnieje prawdziwy kult Gadzybekowa. Jest konserwatorium jego imienia, pomniki, ulice, również nazwane imieniem tego wielkiego twórcy. W muzeum — mieszkaniu Gadzybekowa — pełnym pamiątek po nim, dyrektor muzeum, znany muzykolog i historyk, prof. Ramazan Challow, mówi o zamiarze utworzenia, w ramach eksponatów muzealnych, specjalnego działu pt. „Arszyn-Mal-Ajan” na scenach polskich”.

Na scenie Teatru Opery i Baletu im. Achundowa oglądałem przepięknie baletu pt. „1001 noc”. Autorem tego fascynującego baletu — bajkowego utworu jest światowej sławy kompozytor azerbejdżński, białowiejski jest oparte na bajkach z 1001 nocy

— Mądrość, humanizm oraz barwna ludowość tych cudownych bajek — powiedział mi kompozytor Amirów — natchnęły mnie do skomponowania baletu. Jest on pomyślany jako hymn na cześć kobiety, jej duchowego piękna oraz miłości.

Zainteresowanie polską twórczością dramaturgiczną sygnalizuje również główny reżyser Rosyjskiego Teatru Dramatycznego w Baku, ludowy artysta ZSRR, Mechtli Mamedow.

— Baku jest nie tylko „miastem nafiłarzy” — mówi Mamedow — ale również miastem włóknarzy. Pod tym względem łączą Baku z daleką a daleką — walk przeciwko zaratowi, abrońców wstąpienia bakijskich i łódzkich włóknarzy w okresie rewolucji 1905 roku. Interesuje nas bardzo twórczość o włóknarskie. Łodzi. Sądzę, że polskiego widza może również zainteresować utwór wielkiego naszego pisarza S. Wurguna pt. „Wargi”. Są to dzieło jednego z naszych bohaterów narodowych. Właśnie niebawem wystawimy ten utwór na scenie naszego teatru.

I na zakończenie — ciekawostka: główny reżyser Rosyjskiego Akademickiego Teatru Dramatycznego im. Puszkina w Charkowie białowiejski — w czwartku na występach w Baku, ludowy artysta ZSRR, Aleksander Baszegjan, powiedział mi, że wkrótce do Charkowa przyjeżdża znany polski reżyser i autor, dyrektor Teatru Muzycznego w Poznaniu, Henryk Olszewski.

STANISŁAW PAMOŁOCKI

Słynna geyerska Biała Fabryka jest zapewne jednym z najpopularniejszych w Łodzi historycznych gmachów przemysłowych. O samym Geyerze pisano książki za jego życia i za jego — oczywiście — pieniądze. Były to, rzecz prosta, panegryki. Po wojnie pisano o nim — o jego drodze do fortuny znaczonej bezwzględny wysiłkiem robotników — w sposób bardziej rzetelny. Zresztą prawda o tym rodzie jest zbyt złożona, aby ją dzielić na kolory — czarny i biały.

Protoplasta rodu, Ludwik Geyer, przybył do Łodzi w roku 1828 i już wkrótce jego posiadłość przy Piotrkowskiej liczyła 30 hektarów. Bardzo szybko wykupił sąsiednie posesje i w roku 1833 zbudował dom mieszkalny przy Piotrkowskiej i Górnicka. Domek ów, z charakterystycznymi kolumnkami, zachował się do dziś — wygląda jak szlachecki dworek.

Wokół tego dworku wyrosły wkrótce budynki geyerskiego królestwa. Dziś mieszczą się tu Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Feliksa Dzierżyńskiego. W tym rejonie miasta zbudował Geyer szereg budynków fabrycznych — jeden z nich ma w historii łódzkiego przemysłu mocną pozycję. To tu właśnie uruchomiono w roku 1833 pierwszą w Łodzi maszynę parową. I tu stał pierwszy fabryczny komin. Geyerski komin górował samotnie nad miastem prawie 10 lat. Zasnawał niebo w dzień i w nocy, spędzając sen z powiek drobnym rekielichnikom, dla których oznaczał kres tkackiej produkcji ręcznej.

Biegły lata i rozbudowywała się fabryka. W początkach XX wieku zakłady Geyera zatrudniały już kilka tysięcy osób. Na owe czasy była to fabryka-gigant.

Co dziś zostało z geyerskiego królestwa? Stara, lecz wciąż modernizująca się fabryka, Centralne Muzeum Historii Włó-

kiennictwa, mieszczące się w historycznym gmachu budynku z maszyną parową. Dom Kultury Zakładów im. Dzierżyńskiego. Zakładów sławnych, zasłużonych — odznaczonych Orderem Sztandaru Pracy I klasy.

Właśnie niedawno zakłady obchodziły jubileusz 150-lecia istnienia. Jubileusz ten skłania do wspomnień i refleksji. Dwa lata temu ogłoszono konkurs na reportaże o zakładzie — niedawno ukazała się książka „Pasje dnia powszedniego” — wybór najcenniejszych prac z tego konkursu.

Jest to kolejna — na przestrzeni lat — publikacja o dziejach tej fabryki. Pierwszą była monografia Mieczysława Komara z ro-

BIAŁA FABRYKA

ku 1933 opublikowana w „Roczniku Łódzkim”. Druga była „Geyerska legenda” wydana przez WL w roku 1961 — trzeci jest ten tom reportaży, stanowiący dokument dnia dzisiejszego fabryki.

Ale nie tylko. Jest to także dokument przemian. Bo przecież zmieniła się fabryka, zmienił się człowiek — zmieniły się też postawy byłych właścicieli. Protoplasta rodu — Ludwik Geyer, był klasycznym, nie-

mał powieściowym typem wyścigowca. Robert Geyer — ostatni przedwojenny dyrektor fabryki, czuł się Polakiem i zginął w pierwszych dniach września, zastrzelony przez gestapo.

Kolejny Geyer — Gustaw, był w tej fabryce... pierwszym pełnomocnikiem ludowego ministra w roku 1945 — i urzędował w jednym gabinecie z poperowcem Radziłkowskim — pierwszym ludowym dyrektorem. Tak to splatały się dzieje tego rodu, którego nie da się odmalować jedynie czarną i białą farbą.

Ale jak by nie było — pozostała w Łodzi wielka fabryka, mieszcząca dziś w swoich starych murach nowoczesne maszyny i technologie. Lata siedemdziesiąte przyniosły ogromne zmiany — część maszyn przeniesiono do sąsiedniego Muzeum Włókiennictwa, już w charakterze eksponatów. Na ich miejsce zainstalowano bezszelepekowe radzieckie krosna, automatyczne maszyny przedziałnicze, nowoczesne parowniki i przewijarki.

Przed kilkunastu laty wydano tom reportaży o Łodzi pt. „Ucieczka przedmieścia”. Książkę tę czytamy po latach tak, jakbyśmy oglądali fotograficzny zapis ze starych kronik filmowych. Podobnie jest z reportażami o Białej Fabryce. Dziś jest to jeszcze aktualny zapis dziennikarski — jutro ta książka stanie się dokumentem — jak stara fotografia.

Biała Fabryka pozostanie w krajobrazie i historii Łodzi — tak jak tkwi w nich od 150 lat. Inne miasta mają średnowieczne kościoły i renesansowe pałace. Łódź ma swoje stare fabryki. One także tworzyły dzieje tego narodu i dlatego zasługują na pamięć i szacunek. A także na książki dokumentujące ich przeszłość i teraźniejszość.

WIDOK

Z GALERKI ANNA SZTAUDYNGER — KALISZEWICZ



Pan Jan zsa chmurki: „Piórka dla córkil”

Rys: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

KWADRATURA ROWEROWEGO KOŁA

Kończy się lipiec, a na stadionach i boiskach wcale nie widać walkacji. Raczej odwrotnie, ruch tam panuje spory. Nie tylko lekkoatletci, ale i żużlowcy, kolarze jeźdźcy, żeglarscy. Każdy kto może rusza na start, rywalizuje, walczy zwycięża lub przegrywa. To sportowe ożywienie wywołane zostało nie tylko tym, że jak co roku odbywają się mistrzostwa Europy lub świata, ale przede wszystkim tym, że już za rok sportowcy spotkają się w Moskwie na kolejnych igrzyskach olimpijskich. Wszyscy już myślą o Olimpiadzie i kto tylko może korzysta z każdej okazji startu, aby do tej Olimpiady należycie się przygotować.

Alle, że tak się dzieje, bo pojechali do Moskwy na Spartakiadę Narodów polscy kolarze i sensacyjnie zakończyli swój występ. W polskim kolarstwie dzieje się coś dziwnego. Z jednej strony wszystko wskazuje, że mamy nie tylko dwóch dobrych zawodników: Ryszarda Szurkowskiego i Krzysztofa Sujkę — byłego mistrza i aktualnego wicemistrza świata, ale też sporą plejadę młodych kolarzy, która nie tylko się nieźle zapowiada, ale tu i ówdzie nieźle sobie już poczyna.

Mamy też po tej stronie bardzo krzepiace na duchu i pełne optymizmu wypowiedzi trenerów i działaczy sportowych, a niekiedy i czolowych zawodników, z których to wypowiedzi niezłobnie wynika, że nasi kolarze są znakomici, rewelacyjni, fantastycznie i doskonale przygotowani, że wybierają się tylko i wyłącznie po laury. I wszyscy się z takich wypowiedzi bardzo cieszymy, tylko że mało kto już w nie wierzy.

Alle z drugiej strony nie ma tak rewelacyjnych, jakby się tego należało spodziewać, wyników. Nie można powiedzieć, że wyniki są najgorsze. Nasi znakomici cykliści plasują się na ogół w tak zwanych ścisłych czółowkach, złotych dziesiątkach, najlepszych szóstkach i tak dalej, ale w tych matematycznych zestawach nie zajmują czolowych pozycji, tylko kolejne za czółowymi. Już nawet zwracano uwagę, że nasi chyba nie potrafili zwyciężyć, nie uczy się ich właściwego rozgrywania finisz. Ale trenerzy wyjaśnili, że to taka taktyka.

Ostatnio okazało się, że naszych stać jednak na sensację. Oto właśnie w Moskwie, na olimpijskim torze, były mistrz świata i aktualny wicemistrz świata czyli Ryszard Szurkowski i Krzysztof Sujka wywinięli takiego koła, że zupełnie już nie wiadomo, śmiać się czy płakać. Nie wytrzymał tempa, nie wytrzymał trudów niebywale trudnego toru podmoskiewskiego i... wycofał się po 12 okrążeniach, a było ich wszystkich 14. Jedno okrążenie wynosi 13 640 m, a więc wycofał się na 27 280 m przed metą.

Sprawozdawcy pocieszają, że to nie wielkiego, że nie się nie stało, bo to jeszcze rok do Olimpiady i dobrze, że poznaliśmy taki trudny tor, to będziemy mogli się do tego właściwie przygotować. Ale inni byli do tego toru przygotowani już teraz. I nie tylko kolarze radzieccy, bo choć pierwszym na mecie był Aleksander Gusiatnikow, to drugim — kolarz włoski — Giano Giacomini.

Mała z tego pociecha, że rok pozostał do Olimpiady w Moskwie i przez ten rok można nadrobić braki. Mała dlatego, że już za parę dni są mistrzostwa świata w Holandii. I może się okazać — wbrew wszelkim optymistycznym zapewnieniom i prognozom — że znów coś przeoczono, o czym zapomniano, czego nie wzięto pod uwagę lub że organizatorzy nagłe czymś zaskoczyli.

Dziwnie jest tylko, że to nas na ogół zaskakują, naszym kolarzom przyszkadza jak nie pogoda, to nawierzchnia albo zgola coś innego. Inni też jeżdżą w takich samych warunkach i zwyciężają. Ryszard Szurkowski po nieudanym występie w Moskwie powiedział, że taką „trasę może zwycięsko pokonać tylko mistrz, który do tego w dniu wyścigu zdola akurat osiągnąć mistrzowską formę”. O ile mnie pamięć nie myli Ryszard Szurkowski ma na swoim koncie kilka mistrzostw tytułów. Więc chyba formy zabrakło. Podobnie jak Krzysztofowi Sujce.

BOGDA MADEJ

PS. Ruszyła I liga piłkarska. Niektórzy sprawozdawcy popadli od razu w niezmierny i uzasadniony optymizm, wykrzykując: fajno jest Tymczasem wystarczy uważnie przeczytać wszystkie sprawozdania z wszystkich meczów, aby łatwo przekonać się, że zaledwie kilka drużyn dobrze przygotowało się do sezonu. Nie ma wśród nich niestety drużyny ŁKS. Widzów, choć wygrał, też nie zachwycił. Gdyby nie Zbigniew Boniek i Stanisław Burzyński, którzy byli bezspornie najlepszymi na boisku, to z wynikiem mogłoby być różnie. A mecz obserwowali wystawny pucharowego rywal — Saint Etienne.

B.M.

PROPOZYCJE

Tak się jakoś złożyło, los tak chciał, jakby powiedzieli fataliści, że lato wpisało się nam między historyczne daty. W lipcu rocznica Manifestu PKWN, w sierpniu powstanie warszawskie, we wrześniu wybuch wojny światowej. A lato wiadomo, swoje prawa ma i ludzie muszą, niezależnie od pogody wyjeżdżać na urlopy, na wakacje, uciekać z miasta na łono przyrody. Nie jest to więc najlepszy czas dla rozwoju wszelkich form życia umysłowego. Bywa nawet i tak, że autor wyjeżdżając na urlop, przynosi tekst do redakcji i prosi, aby wydrukować mu to po wakacjach, no bo wtedy wiadomo, więcej będzie czytelników.

Gdyby tak wszyscy myśleli, to należałoby raczej zamknąć na lato wszystkie redakcje, a telewizja powinna całym dniami nadawać tylko komedie, westerny i melodramaty. Dla każdego coś lekkiego. Co tego lata robi telewizja, to wszyscy dobrze wiemy. Dlaczego tak postępuje, tego — niestety — nie wiemy. Ale telewizja mniej interesująca przyczyną od skutków. Skutki telewizyjnej działalności ogląda on bowiem na ekranie i mało go obchodzi, co dzieje się w redakcjach i w studiach, jakie tam mają trudności i kłopoty. On chce mieć coś interesującego na ekranie, a nie ciągle powtarzający się „REMANENT”.

Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym napisał, że w telewizji nie dzieje się nic ciekawego. Oto w dniach minionego zimy, kiedy gwałtownie zabrakło „zagospodarowaniu” lagru, który przed nami zajmowali Niemcy kryminaliści, zabrano nam buty.

Buty — to był dla wielu z nas ostatni element normalnego ludzkiego życia. Podchorążowie kawalerii i artylerii do ostanki pucowali swoje oficerki na wysoki polski, pieszczociarze — jak ja — natłuszczali czym się dało grube juchty nabijanych gwóźdźkami trzewików. Aż oto wachmani zaprowadzili nas do szopy z ogromną hałą drewnianych klumków i kazali sobie dobrać po parze, a swoje obuwie natychmiast zdjąć i ustawić pięknie na półkach. Dobieranie było ra-

SIERPNIOWE TEMATY

dyktuje życie. I ten fakt uratował „Wieczór z dziennikiem” przed zastojem, jaki powszechnie ogarnia naszą telewizję.

Ale byłbym po dwukroć niesprawiedliwy, gdybym wszystko uisławiał wrzucić do jednego worka i nakleść na nim — na dodatek — napis: „NUDA”. Zdarzają się przecież w tym potoku powtórzeń audycje aktualne, żywe, wnoszące coś nowego do naszego poznania świata, do naszej przeszłości. Okazuje się, że są jeszcze tacy ludzie w telewizji, którzy biorą kamerę i idą w Polskę, aby co z tej Polski pokazać, a nie tylko grzebić w archiwach, zastanawiając się, co tu by jeszcze raz powtórzyć? Mam propozycje nie do odrzucenia: powtórzyć przygody

kapitana Klossa. Dawno nie było. A ile to ma odcinków, ile dziur się tym załata.

Dość żartów! Chciałbym w tym miejscu przejść do innej audycji telewizyjnej. Tylko że w felietonie tak, jak w życiu. Najpierw były szyderstwa z naszej manii robienia nadmiaru przepisów i regulaminów, a później Andrzej Królikowski miał kłopot z przejściem do bardzo poważnego tematu. Ja też.

W. Machajko zrobił reportaż „Chcę żyć” o tragedii, jaka się wydarzyła w naszej historii najnowszej. Każda wojna jest tragedia, bo niszczy ludzkie życie i to wszystko, co ludzie zbudowali. Dodatkową tragedią w tej tragedii jest los dzieci. Na wojnie giną dorośli, ale śmierć nie oszczędza dzieci. My się chlubi- my tym, że w powstaniu warszawskim do walki stanęły też dzieci. Jeśli spróbować spojrzeć na to obiektywnie i z perspektywy czasu, to jest to raczej tragedia naszego narodu, że dzieci musiały stanąć do walki.

Inną tragedią była martyrologia dzieci. Właśnie Wiesław Machajko pokazał, jak to było. Pokazał w oparciu o dokumenty, o wypowiedzi ludzi, którzy

przeżyli piekło dla dzieci, pokazał dyskretnie, bez przejawów, odwołując się raczej do ludzkiej wrażliwości i wyobraźni, niż łopatologicznie pokazując im, co i jak. A mimo to osiągnął zamierzony efekt. Pokazał grozę wojny, nie używając do tego zdjęć batalistycznych.

Wiesław Machajko pokazał jednak nie tylko grozę wojny. Pokazał również zwyrodnienie, nienawiść i okrucieństwo, jakie rodzi nacjonalizm i faszizm. Oglądając reportaż Wiesława Machajki, słuchając relacji byłych małych więźniów, oglądając dokumenty, człowiek uświadamia sobie nagłe całą grozę tego, co przeżyli ludzie. Niedawno widziałem tę słynną scenę z „Polskich dróg”, kiedy Leon Kuraś kupuje od niemieckiego policjanta kolejowego wagon z dziećmi. Jest to scena wstrząsająca, ale Wiesław Machajko w swoim reportażu osiągnął jeszcze więcej, pokazując tylko dokumenty, zdjęcia, relacje i wspomnienia. Wywołał wstrząs, który nie mógł nie pozostawić śladu w naszej pamięci. I pozostał.

Tak się jednak złożyło, że reportaż Wiesława Machajki nie telewizja emitowała w lipcu, kiedy większość na wyuczonych i na dodatek w porze, kiedy większość jeszcze na plaży, w lesie, albo w pracy. Zmarowano szansę. Ale w telewizji to nie dziwi.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

W mrocznym sklepieniu przy Vesteringatan, w najstarszej dzielnicy Sztokholmu, leży wśród różnych rupiec polska żołnierska manierka, zupełnie taka sama jak ta w kącie mojej szafy: sfatygowana, lekko wzięta, dobrze wysłużona. Chudy i nie ogołony Szwed w starożytnych okularach podaje cenę manierki: sto osiemdziesiąt koron. Przeliczam szybko na dolary, bo te z kolei mogę jakos przypasować do naszej złotówki — wychodzi około czterdziści. Czterdziści dolarów.

Ale co tam szukać skandynawskiej egzotyki: w środku Łodzi, w małym komisie obok hotelu „Polonia”, możecie sobie obejrzeć parę ogromnych, wydrążonych w drzewie, holenderskich sabotów z zadartymi zabawnie czubkami, opatrzonych ceną: siedemset pięćdziesiąt złotych. Stanąłem przy tych sabotach i film odkrył się nagle o czterdziści bez mała lat. Jak ten świat się zmienił!

Latem 1940 roku zabrał nas z oficerskich obozów jenieckich w Rzeszy. Nas — to znaczy polskich podchorążych, których uznano za niepodlegających odpowiedzialności paragrafowi Konwencji Genewskiej o jeńcach wojennych. O podchorążych nic w konwencji nie było, stanowili polską specyfikę, można było uznać ich za żołnierzy szeregowych i na równi z nimi zmusić do pracy. Wyśledzeni ze wszystkich oflagów, rozsiadani po całej Rzeszy, spotkaliśmy się w Oberlangen, pośrodku mokradel porośniętych wrzosem, nad holenderską granicą. Mielśmy te mokradła osuszać i zamieniać w uprawną ziemię.

Jak okiem sięgnąć nie było tam nic oprócz wrzosu i nieba. W barakach też nie było nic, dostawno: nic. Przynieśliśmy wrzosi i na tym się spało, gęstymi rzędami, jak sardynki. A w trzy dni po

SABOTY

czej formalnością, bo drewniak prawie że nie różnił się od siebie, najwyższe jakimś pęknięciem, szparą, śękiem. Wychodziliśmy z szopy jak ostatnie lajzy, jak kaleki: nikt w tym nie umiał chodzić. Saboty spadały z nóg, grzeźły w mokrym mchu, nogi wykrywały się w różne strony. Później, zimą, po grudzie — było jeszcze gorzej, chciały przysnąć trzeba, że dopóki nie nasyplą się do środka śniegu i dopóki nie przemykają na wylot onuce — stopa w tym nie marzała i można było się skoncentrować na grabieżących od łopaty dłońach (rękawic nam nie dali, ale można było trzymać łopatę przez rękaw żołnierskiego płaszczka). Kolumna jeńców maszerujących po twardej nawierzchni drogi dawała

wdzięczny koncert wielokrotnego stukotu, słychać to było z daleka, drobny grzechot, potrząsana puszcza z grochem. Czy komuś mogło strzelić do głowy, że każdy z nas ma na nogach coś, co zaledwie po paru dziesiątkach lat stanie się wdzierającym rekwiizytem retro, modnym gadżetem, eksponatem gablotkowym, wartym połowę miesięcznej pensji w ustabilizowanym, dorabiającym się społeczeństwie...?

Prawie pięć lat nie miałem na nogach nic innego, tylko klumpy i klumpy. Pięć lat nie miałem w ręku widelca, bo i nie był do niczego potrzebny. Pięć lat opierałem głowę o złożony w kłębek mundur i kiedy wreszcie znalazłem się w normalnym łóżku z poduszka — musiałem ją spod siebie wyrzucić, bo głowie było duszno, ciasno i głucho. Stoje przed wystawą komisju i widzę siebie biegnącego pokracznie w stronę przepustu pod szosą. Płynął tamtędy malutki, brudny strumyk, czy raczej ściek niezbyt pachnący. Wcisnąłem się w rurę przepustową, bo nasza kolumna ostrzeżenie zaczęły alianckie samoloty. Po nalocie wyłazłem w jednym drewnianku, drugi spadł i spłynął sobie z prądem. W jednym drewnianku maszerowałem parę kilometrów i druga stopa stała się jednym wielkim bąblem.

— Popatrz pan: trzy tysiące peruczka. Trzydzięści tysięcy kożuch. A to — co to jest? Komu to do czego potrzebne? — pyta nagle stojący obok przechodzień.

Nie wiem, kto kupił saboty i do czego mu to będzie potrzebne. Nadjeżdża mój tramwaj, koniec dygresji.

ĆWIEK

Załącznik nr. 36(-)79

HASŁO NUMERU: WRACAJ Z URLOPU – TRZEBA ODPOCZAĆ!

Istnieje przepis, że od negatywnej decyzji społecznej komisji, przydzielającej dewizy na indywidualne wyjazdy zagraniczne, obywatel może się odwołać do prezydenta miasta.

Odwołanie takie nazywa się bardzo groźnie: „zaskarżeniem”, bowiem obywatel „zaskarża” w nim dyrektora odpowiedniego wydziału Urzędu Miasta.

ZASKOCZENIE

sta, w którego gestii leży rozdział dewiz.

Obywatel X (nazwisko i adres znane redakcji) wystosował takie „zaskarżenie”, kierując je wprost do prezydenta. Jakież jednak było jego zaskoczenie, gdy na piśmie to odpowiedział mu (negatywnie zresztą) zastępca „zaskarżonego” dyrektora...

PO HERBACIE

Smiałem się z „pełnego kompletu” redaktora Jana Ciszewskiego, solidaryzując się z tymi, którzy zgodnie z duchem języka polskiego twierdzą, iż przysłowiowy „pełen” przy słowie „komplet” nie ma sensu, gdyż kompletem w ogóle nie jest.

Smiałem się dopoty, dopóki w Delikatesach Lux nie wpadł mi w oko „Cał” czyli „oryginalna herbata turecka” po 20 zł paczka. Od dawna lubię rzeczy oryginalne, takie mam upodobanie, herbata więc nie tylko kupiłem, ale i zaparzyłem według przepisu. Wyszło z tego coś, co lud polski określa niezbyt może oryginalnie, ale za to prawdziwie i dosłownie jako „śluski”. Postanowiłem zatem interweniować i zaprosiłem na herbatę znajomego Turka. Turk wypił, skrzywił się i powiedział, że nie ma w zwyczajnie „śluski” podjętej „chłopskiej”. Ponieważ od dawna nie mam znajomych Chłopców i w związku z tym nie mogłem doprowadzić do konfrontacji międzynarodowej, a poza tym żywiłem całkiem inne podejście, zebrałem herbatiane

fusy i dałem do spróbowania znajomemu koniowi. Ten przyjął poczęstunek z wdzięcznością, żuł z upodobaniem, aż mu się grzywa trzęsła. Kiedy już przesuwał popiół, stwierdził z wdzięcznością, że od ubiegłorocznych sianośkosów nie miał takiej frajdy (jak wiadomo, są kłopoty paszowe).

I wtedy właśnie przestałem się śmiać z redaktora Jana Ciszewskiego. Rozumiem już jego nieświadomość w znaczeniu słów prostych, pojęć bez desygnatów. Być może — pomyślałem — kupił kiedyś Ciszewski wraz z samochodem komplet narzędzi do „Poloneza”, a kiedy chciał go użyć, stwierdził, że kupił komplet „niepełny”, czyli „niekomplet”. Używając się pod nazwą kompletu — teraz więc, kiedy ma do czynienia z kompletnym kompletem, musi podkreślić wartość tego z czym ma do czynienia. Ze wychodzi z tego masło maślane? Moi drodzy, masło dawno już nie jest masłem, kiedy więc trafi się prawdziwe, koniecznie trzeba użyć przysłowia. Dlatego mamy „Masło wielkie” w odróżnieniu od „masła małego”. Czy jest to masło najprawdziwsze? Któż to teraz wie, jakie powinno być masło, poza krowa może.

Przestałem się również śmiać z popularnych ostatnio w prasie (także w „Ogłoszeniach”, radu i telewizji), zwrotów typu „konkretnie przedsięwzięcia”. Mówiłem sobie do tej pory, że tak jak niekompletny komplet, tak i niekonkretnie przedsięwzięcia nie mają sensu. Teraz widzę, że może sensu nie mają, ale co zrobić jeśli mimo to są? Jak odróżnić

te niekonkretnie, a zatem bezsensowne, od konkretnych, a więc sensownych? Tylko przysłowiem.

Jak więc widać, wraz z czasem i duchem języka musi się zmieniać i zmienia się, co właśnie widzimy.

Leć jak to z duchami bywa, lubią one czynić psikusy, cuda i czary. Woliwają na światopogląd, tak, że ani się spostrzeżesz, a już masz światopogląd magiczny. Od niego już tylko krok do tego, aby uważać, że słowo potrafi wywołać rzecz, że określenie „pełen komplet” uczyni z niekompletnego kompletu komplet kompletny, masło maślane zrobi z masła marmarowego „konkretnie przedsięwzięcie”, ukonkretni przedsięwzięcie niekonkretnie, a „oryginalna herbata turecka” uczyni herbatę z siana.

Wymyśla to oczywiście fachowcy, znajomości rzeczy umiarkowanie, poruszania się w magicznym światopoglądzie. Firma parzuchowa i opakowująca „oryginalną herbatę turecką” użyła, na przykład przysłowia nie dość magicznego — i tylko dlatego „herbata” nie stała się herbatą.

Zaparzyłem „oryginalną herbatę turecką” jeszcze raz, usiadłem w najwygodniejszym fotelu, zaparzyłem i zacząłem w myśl powtarzać — piję najoryginalniejszą herbatę turecką, piję najnajoryginalniejszą herbatę turecką, nie najnajoryginalniejszą herbatę turecką.

I co powiecie na to? — Zaczęła mi smakować, i po herbatce.

KATORŻNIK



KONTAKT Z PRZYRODĄ

Rys. Jan Zieliński

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

WALCZYK DZIEKCYNNY

Kooperator znanej spółdzielni zapomniał zrobić rączek do kleini, więc zaraz Przes, co był pod planem przesłał mu w prasie podziękowanie!

Czarne na białym tamiem już widzi i pewnie dotąd jeszcze się wzdry...

W naszej stolówce ma nowe wdzianko, nerwowa panna, serwując dancko, zupa oblała mi niespodzianie więc się jej w prasie podziękowanie!

Tak napisałem do tej panielki — zamiast mi przytkać, oblałaś. Dzięk!

Raz jeden doktor, nie powiem gdzie to, przez rozstrągnięcie wyjął mi ślepa kizkę. Włec wdzierny mu niesłychanie, posłałem w prasie podziękowanie!

Ze mi nie wyciał chociaż się kusil czego innego... Doktorze buźżż!!!

Pewien taksówkarz raz starsza pania wioząc na dworzec odłożył tanioc. Włec mu ta pani jak zwykle namie przesłała w prasie podziękowanie!

I płynie krakem skoczny, lecz płynny ogólnopolski walczyk dziekcyunny!

Kończąc mój występ na waszej scenie tak między Bogiem z prawda miał każdy z nas dwóch się dziwić szalenie, że nie artystów, a brawa bill.

Włec kiedy przyjdzie czas na rozstanie przesyłem Państwu podziękowanie!

FRASZKA

Przeleć to nie o nim napisałem fraszka... Za co się obraził? Ano za to właśnie.

Z ŻYCIA SFER POJEDNANIE

W łódzkiej kawiarni „Grand Hotelu” doszło do wielkiego wydarzenia. Nastąpiło pojednanie między trenerem chorzowskiego Ruchu a poprzednim ŁKS, Leszkiem Jezierskim i byłym bramkarzem ŁKS a obecnie Belgijskiej drużyny Beerschot Janem Tomaszewskim. Świadkiem pojednania był dziennikarz „Expressu Ilustrowanego” — Michał Strzałek który już rzecz całą opisał w gazecie Z tej też okazji „Express Ilustrowany” opublikował zdjęcie Jana Tomaszewskiego oraz wywiad z nim zrobiony przy kawiarzianym stoliku w „Grandee”. Leszek Jezierski takownie młodził. W końcu życie potwierdziło, kto w tym sporze miał rację.

OSTRZEŻENIE



Foto: H. Pustkowskii

Gospodarz domu zapukał do moich drzwi wczesnym wieczorem. Był to męcząca roślina ogorzała bez wątpienia z młodziej generacji gospodarzy domów. Przywitałem go zresztą i zaprosiłem do mieszkania, ale on stojąc w progu patrzył na mnie wymownie.

— Czym mogę panu służyć? — Milczał. — Świetnie, że pan do mnie przyszedł. Obowiązek obywatelski stawiam na pierwszym miejscu. Chrzaknął Jego poprzednikowi dałem przed Nowym Rokiem sto złotych, Czy on zadowolony się stu pięćdziesiątka?

— Panie — powiedział nagle chrapliwym głosem — panie, weź pan tego psa do jasnej cholery, bo nie bede po nim sprzątał! — I poszedł. Nawet nie zdziwiło mnie to, że poszedł. Jego sprawa ale co z tym psem? Ja nie mam i nie miałem psa!

Rozczuliłem tapczan i — z pewnym trudem — zasnęłam. Obudziło mnie mocne walenie do drzwi. Spojrzałam na zegar: była godzina druga.

— Zaraz otwieram — powiedziałem, ale dudnienie nie ustawało. Gdy otworzyłem w progu stanęła pani Ziuta, sąsiadka z wyższego piętra. Pani Ziuta jest na co dzień bardzo elegancka kobieta i nasze poprzednie spotkania na przystanku autobusowym sprawiły mi przyjemność. Jednak pani Ziuta o godzinie drugiej w nocy na progu mojego mieszkania nie przypominała tej eleganckiej kobiety z przystanku autobusowego. Była wzburzona.

— Zadam natychmiastowego uciążenia pańskiego psa — krzyknęła rozdzierając. — Jestem kobieta pracująca, wstała rano...

— Wiem. O słodkiej na przystanku... — Pański pies nie daje mi spać!

— Ale? Droga pani! Ja nie mam psa.

— Cham! — wrzasnęła pani Ziuta i poszła. Szkoła, że poszła. Nawet w papilotach było jej

MIECZYŚLAW MICHAŁ SZARGAN

UKWIAŁY

Hełkoć widzę żującą krowę, mam wrażenie, że przeżuwa krajobraz.

Kwiat cykorii: Gorzkie Piękno.

Niektórzy z powodu ciernia w stopie krzyczą, jakby wyjmowano go im z korony.

Ze puste stoły? Ale jaka orkiestra!

Taka miernota, że nawet mógłby zostać kimś.

MIROSLAW KUŹNIAK

PIES

do twarzy. Zasnęłam mając przed oczyma pana Ziutę i... psa.

Kano, gdy wyszedłem z mieszkania, przed klatką schodową stała gromadka lokatorów. Był wśród nich gospodarz domu i pani Ziuta. Chciałem ich wyminąć, ale drogę zastąpił mi Walczak — sąsiad z trzeciego piętra.

— Panie sąsiadzie, to był taki spokojny dom. Po co panu pies? Nie lepszy telewizor?

— Po co te ceregiele? Ja go znam! Chciał mnie przekupić! — powiedział gospodarz domu. — Od razu w ucho i na milicję, nie warto się z nim cackać!

— Jego pies nie dawał mi spać przez całą noc! — krzyczała pani Ziuta.

— Proszę państwa, ja naprawdę nie mam psa!

— W ucho i na milicję!

Tego dnia do pracy nie poszedłem. Chyba po godzinie umilkło łomotanie do drzwi. Widocznie sąsiadzi porozjeżdżali się. Staralem się spokojnie przemyśleć całą sprawę. Jeśli szczeka pies, a ja nie mam psa, to gdzie on szczeka? Może u sąsiadów?

Ale dlaczego wszyscy lokatorzy są pewni, że to mój pies? Z medyką w głowie położyłem się na tapczanie. Spokój trwał do późnego wieczora. Najpierw załomotał gospodarz domu. Podkradłem się do drzwi i założyłem łanuch. Po dłuższej chwili zmęczono łomotaniem gospodarza zastąpiła pani Ziuta. Potem Walczak, Kozłowski i inni sąsiadzi. Ich głosy żądające uspokojenia mogły paś dolecieły nawet do łazienki, gdzie się schroniłem.

Myślałem intensywnie. Jasne dla mnie było, że zdesperowani sąsiadzi poważa się nawet na wyważenie drzwi. Czy mogłem do tego dopuścić? Podkradłem się do drzwi i przysiadłem na dywaniku. Cichutko tam byłem. Cichutko zaszczekałem. Nicco umilkło. Zaszczekałem głośniejsze. Uchlił. Szczekałem dalej pełnym, mocnym głosem.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

ODCINEK 14

Tak sobie zastrzegła w umowie, może nie być seradeli z niebieską cykorią na miedziach, mogą nie wpadnąć do wisniowej zupy muchy z ojczyściej zagrody, gdzie całe ich pokolenie kryje się przed jaskółkami i ginieły na dźwięk paskach lepów. Z jednej strony muchy wiosennej trzysta trzydziestu sześć trylionów jełsienią. Kiedy Ignacy Zmelonek usłyszał o tym po raz pierwszy, o wojnie jeszcze się wcale nie mówiło.

Włec może nie być much, ani nawet władra na piole, do którego dzieciaki celują kamieniami, zamiast chodzić do szkoły, ale musza być kury. Działat starzy nie mają do kogo gęby otworzyć, a stryjna Ignacego ma: „cipuchna, tu, tu, tu”. Nie wzięła się za malowanie skrzydlatych stoni, ani za lepienie diabłów z twarogu. Jajka sprzedawała tak zwyknie niekniecie pedziem, i to był jej cały wkład w samorodną twórczość ludowa. Nastąpiła moda na sierkoniki, jajka bez stempli były potrzebne. — „Stemple są dobre na przepustce do żłobka, zwi-

szcza przystawiane do góry nogami...”. — mawiał pan Kitus. — Tęgo to zarzyna na święto kobilet — odgryzał się Ignacy Zmelonek. Stryjna śmiała się, bo myślała że chodzi o pana Kitusia, ale Ignacy patrzył wtedy prosto na zawadiackiego kogutka, wodzącego rozradkaną gromadkę. Może by i zarznął, ale najpierw musiałby schwycić, a nie miał czasu, o czym już raz wspominał.

Ba-bach ba-bach, ba-bach — zwałna nosząc przed mostem na Smródcie. Kiedy nie zwolnił i jeszcze w pół wieku potem wygrzeballi chłopaki z piasku ta-

łać się”. Pani Różia sięgała po zegarek, żeby sprawdzić godzinę na trasie. To nie, że zegarek nie chodził. Stryjna zwijała kury, więc musiał być koto piątej, a na zegarek zawsze się patrzył żeby detektyw miał od czego zacząć. Potem stryjna zastąpiła w połowie sześćdziesiątego „cipu”, a pani Różia wysunęła głowę przez okienko „Ruchu” tak energicznie, że czterech silnych musiało ją cofać, a i to peruksa została na zewnątrz. Spojrzeli oba pracujące kobilet zderzyły się w miejscu gdzie pod sosenką stały dwa puste motocykle. Gdy mijala je Mariol-

ka, zza białych od kurzu krzaków jeżyn splatanych z elektrycznym kablem wyszły dwie sylwetki chyba meskie. Z dajaka nie rozpoznał. A ten kabel to zerwali rok temu członkowie ekipy technicznej, wezwanej do naprawy cosinusa fi w sieci wysokiego napięcia. Tak mówili: cosinus się podłgałnie, trafo zbudujemy, dotknięcie grozi śmiercią.

(Dalszy ciąg nastąpi)

